Rocznik II. Kraków, 25 Marca 1897. Nr. 6.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Organ ZWIĄZKU LITERACKIEGO w Krakowie.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie rocznie 6 zlr. w. a. — półrocznie 3 zlr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 zlr. 80 ct. — półrocznie 3 zlr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia
po cenie 10 ct. za wiersz petitowy, za całą stronicę 15 zlr. przyjmuje Administracya.

W **Poznaniu** skład główny w księgarni J. Leitgebra, w **Petersburgu** w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — **Administracya:** w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

Aforyzmy Tomasza Zana.

Legendowa prawie postać Tomasza Zana zawsze żyć będzie w naszej literaturze, a poniekąd i historyi, oblana światłem poezyi i urokiem pewnej tajemniczości. Człowiek cichy, spokojny, stojący przez całe życie na bardzo skromnym posterunku, niczem nie okazujący jakichś wybitnych zdolności, mistyk, romantyk, poddający się z pokorą losowi, nie zdatny do walki i czynu, — miał za młodu Zan kilka chwil szczęśliwych, którym zawdzięcza (można to powiedzieć bez obawy o przesadę) przejście do nieśmiertelności.

Tak jest! Póki brzmieć będzie mowa nasza i cześć dla naszej przeszłości, z szacunkiem i z wdzięcznością wspominać będą potomni postać Zana, założyciela i przewodnika Filomatów i Filaretów. Nie zrozumieją może tego nadzwyczajnego wpływu, jaki wywierał on na umysły młodzieży, — przy skąpym materyale faktycznym pozbawieni będą możności dokładnego zdania sobie sprawy w czem leżała potęga „pierwszego żołnierza tej epoki“, — ale będą musieli liczyć się z tą nazwą, przyznaną Zanowi przez współczesnych. I ze wzruszeniem będą odczytywali napis opiewający, że tu spoczywa: „miły Bogu i ludziom Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie“.

A gdyby nawet nie było Filomatów i Filaretów, tobyśmy musieli pamiętać, że „miły Bogu i ludziom“, był miły i Mickiewiczowi, że ustaloną jest opinia o wpływie Zana na umysł i twórczość największego mistrza naszej literatury, a nawet na cały kierunek romantyczny poezyi naszej. Z nazwiskiem Zana wreszcie nieodłącznie wiązać się będzie imię Maryli. Wszak to on zawiózł Mickiewicza do Wereszczaków, on „od pierwszej chwili był świadkiem łez i uniesień Adama, zamierzanych buntów i rozpaczliwego poddania się konieczności, on został do końca jego powiernikiem, doradcą i pocieszycielem“ [1]).

Dlatego też sądzimy, że podając nieznane aforyzmy Zana, rzucimy nieco światła na tę postać zamgloną przez niedostateczność źródeł, a przecie urosłą w kształty olbrzymie, fantastyczne. Niema w tych aforyzmach nic wybitnego, zaledwie parę z nich nosi na sobie cechę oryginalności — ale wszystkie razem przedstawiają nam obraz duszy wysoce chrześcijańskiej. Wydaje się, że to przemawia jakiś apostoł, jakiś ojciec Kościoła, a nie człowiek zostający na skromnem stanowisku lustratora górniczego. I prawdopodobnie w tem właśnie głębokim chrystyanizmie czerpał Zan swą siłę i wpływ na otoczenie, nim jednał dla siebie cześć ogólną, która, jak to wiemy dobrze, do końca życia mu towarzyszyła.

Aforyzmy przez nas podane zostały znalezione w papierach rodziny Świętorzeckich, a więc rodziny żony Zana, Brygidy Świętorzeckiej. Są one spisane ręką kobiecą na dwóch arkuszykach papieru listowego. Każdy arkuszyk opatrzony jest osobnym tytułem. Zdaje się, że te zdania po części wyjęte zostały z listów Zana, bo w ogłoszonej jego korespondencyi spotykamy sporo podobnych aforyzmów, a po części spisane były po jego śmierci przez osobę, mającą sposobność ciągłego z nim obcowania i dlatego dobrze pamiętającą wygłaszane przez niego maksymy. *(b.)*

Niezapomnianej pamięci, najszlachetniejszego i najzacniejszego z ludzi — Tomasza Zana — niektóre zdania i myśli.

„Nigdy nie sądzić nikogo — Pan Bóg sam jedynie jest znawcą serc ludzkich. — Sądząc przywłaszczamy sobie urząd Sędziego, Boga“. —

[1]) Władysław Mickiewicz w życiorysie Adama.

„Kiedy nam zdaje się, że ktokolwiek względem nas jest winnym, to my względem niego jeszcze doskonalszymi, lepszymi starać się być powinniśmy“.

„Nieprzyjaciele nasi oddają nam daleko większe usługi, aniżeli ci, co nas kochają — bo wykazują błędy nasze, wykroczenia i ułomności, których nie postrzegają osoby nas kochające“.

„Starać się zawsze nie opuszczać ani najdrobniejszej rzeczy dobrej, którą zrobić możemy, albo powinniśmy — są zdarzenia na które jedyna tylko jest pora, która drugi raz nie wróci — i z której korzystać powinniśmy“.

„Bydź (bądź?) codzień gotową znieść choćby chwilę zasmucenia — utęsknienia — pracy — nudy — mozołu. — Będzie to pożyteczniej jak wielkie i głośne rzeczy wykonywać — jak zdobywać sławę — oklaski. — Nad wszystko to droższe jedno poświęcenie się. — Przez nie poświęcamy siebie i drugich. Drugim dajemy przykład, zachętę“.

„Powinniśmy starać się ukochać to (tych), co się nam najbardziej nie podoba. — A wtenczas odkryjemy najrzadsze, najkosztowniejsze przymioty w tych, którzy się nam nie podobali“.

„Każdy, z kim los zdarza nam się spotkać, ma cząstkę naszego szczęścia — jak i my także nawzajem mamy cząstkę jego szczęśliwości. — Tę obowiązani jesteśmy oddać mu — a odebrać swoją. — Zatrzymana — nam samym ujmą i stratą będzie“.

„Pieniądz dany nie jest wsparciem, pieniądz nie łączy nikogo — prędzej odpycha tego, komu ony dajem“.

„Czego nie oddamy dobremu duchowi, n. p. kościołowi, czy bliźniemu, czy krewnym, czy rodzicom, czy dzieciom, to zmuszeni będziemy oddać złemu — np. nieprzyjacielowi, złodziejowi, assesorowi etc. Ujmowanie czy skąpienie nie przynosi korzyści“.

„Nie ma potrzeby samym szukać daleko wielkich rzeczy. — Miejmy tylko w sobie doskonałości, przymioty, weźmijmy w siebie co tylko najlepszego, a przyjdzie do nas cały Paryż (naturalnie pod tym wyrazem chciał powiedzieć, że szukać nas będzie świat cały).“

„Gdzie trudność jaka, tam skarb właśnie“.

„Antypatia — wyrażenie i uczucie nie chrześciańskie“.

„Miłości wyłącznej strzeżcie się, bo ta pochodzi jeżeli nie od złego, to przynajmniej od jakiegoś nieczystego ducha“.

Dalszy ciąg myśli i zdań Tom. Zana.

„Pielęgnować i krzewić wszystkie dobre uczucia, a starać się udalać i tępić wrażenia przykre niemiłych pamiątek, lub trwogi o przyszłość“.

„Nie ten kto ofiaruje, ale kto przyjmuje robi łaskę“.

Gdy pewnego razu kochany Pan Tomasz, jak to się często zdarzało, był nalegany od jednej z licznych przyjaciółek i wielbicielek, aby powiedział, „jaka jest droga na tym świecie do raju?“ wziął przeto pióro, i zapisał jej własną ręką następne słowa:

„Pozwólcie każdemu, ktokolwiek jest z wami czynić to, co się jemu podoba, aby nawzajem każdy pozwolił wam czynić co wam się podoba: a nie pozwalajcie sobie czynić, tego, co się drugim nie podoba, tylko to czyniąc, co im miło“.

„Kto nie kocha choćby jednego człowieka na świecie, nie ma w sobie prawdziwej miłości“.

„Nie odrażać się, chociaż czasem wydaje się nam rzecz jaka przykra, nie miła do spełnienia — bo prawie zawsze tam dla nas ukrywa się skarb jakiś — a przeciwnie gdzie pozor przyjemności — szczęścia — to jak błyszcząca blaszka, co nas zwodzi — a która jak spełznie, jak się zetrze, tak widzimy, że to pustka i nic więcej.

DRUGA STRUNA.

Był czas i to niedawny, kiedy ustalone było prawie przekonanie, że poezya nasza znajduje się w agonii. Może z czasem, mówiono, powstanie ona z popiołów, kiedy nowe pokolenia przyniosą ze sobą nowe hasła, lub kiedy nowe świty dziejowe tchną otuchę w rzesze przygnębione, oddane bez zapału, bez ideałów wytycznych, pracy dla kawałka chleba. Polityczne stosunki stwierdzały mniemaną prawdziwość tych zapatrywań, a „nowi ludzie“ obrzucali poezyę szyderstwem i składali na nią odpowiedzialność za cały szereg niepowodzeń politycznych. Przestano wierzyć, aby na jej „czarodziejskie skinienie“ stało się „niebo na ziemi“ — owszem uważano ją za piekielną jędzę, która jadem swoim zatruwszy ducha i rozum, szerzyła klęski, podkopywała byt narodowy.

Sami poeci tracili wiarę w moc poezyi, w jej dodatnie oddziaływanie na tłumy, skarżyli się, że brak im słuchaczy. „Zmalały pieśni pośród nas“ — pisał Asnyk — i skarżył się, że poezya „straciła dawną swoją moc, sercem człowieka nie włada, kona już nie budząc żadnego echa“. Prawda, że wierzył w jej zmartwychwstanie, „bo co nieśmiertelne musi żyć“, ale godził się z faktem, że „ludzie zimni“ składają poezyę do grobu. Karol Świdziński w hymnie na cześć pracy, nie szablą i nie tonem kazał walczyć młodym hufcom,

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą
Ludy czoła swe ozłocą.

Poeci przestali marzyć o przodowaniu ludzkości i swemu społeczeństwu. Żaden nie uderzał w struny Tyrteusza, żaden nie czuł w sobie tytanicznej siły do porwania tłumów za sobą. Jedni pogrążali się w zwątpieniu i pesymiźmie, wyciągali ręce do Nirwany, drudzy szukali natchnienia u zdroju zmysłowych namiętności, inni wreszcie zaprzągali poezyę do rydwanu filozofii, lub oddawali ją na służbę refleksyi. Młodsi, jak Czesław Jankowski, żalili się, że nie mają już o czem śpiewać, „bo wyśpiewano już wszystko na ton rozmaity“, bo „dzisiaj poeta sławy nigdy się dobić nie potrafi“, lub jak Kazimierz Gliński skarżyli się, że muszą śpiewać „o niczem“. I rzeczywiście większość tych, co nie wstąpili w „zwątpień otchłanie“, śpiewała o niczem. Jeżeli nie naśladowała Heinego i Musseta, to flirtowała ze swoimi słuchaczami nastrojem ckliwo-romantycznym, elegancyą i zgrabnością wiersza, wyszukiwaniem trudniejszych form i rymów. Bardzo rzadko mówili nam poeci o pragnieniach rozpierających piersi tłumów, ale za to aż nazbyt często dowiadywaliśmy się o miłosnych gruchaniach, zdobyczach i zawodach samych pieśniarzy. Byli tacy, co wciąż przystępowali do jeneralnej spowiedzi z małych grzechów swego żywota, z drobnych swych żądz i niewielkich bólów. Inni stawali się echem zachodniego dekadentyzmu, lub cofali się do dawnych a obcych form, rzeźbiąc filigranowe cacka, mniej starając się o myśl, a więcej o muzykę dźwięków i słów bogactwo.

W każdym razie łańcuch poezyi nie przerywał się. Przybywały do niego wciąż nowe ogniwa, wprawdzie mniej mocne, nie wykute ze stali, ale za to więcej misternej roboty. Każdy rok prawie dorzucał nowe nazwiska do katalogu poetów polskich, a gdyby zebrać całą produkcyę rymotwórczą z ostatnich lat trzydziestu, to usuwając nawet rzeczy słabsze pod względem formy, ujrzelibyśmy przed sobą bodaj czy nie przeszło setkę pokaźnej wielkości tomów. Ilość ta nie świadczyłaby wszakże o pracowitości poetów naszych, którzy z małym wyjątkiem tworzą bardzo mało, ale o tem, że synów Apollina mieliśmy i mamy liczną drużynę. Produkcya ich ma odbyt jedynie dzięki dość znacznej ilości czasopism literackich. W handlu księgarskim zaś „artykuł“ ten należy do „zbytkowych“, mających małą ilość konsumentów. Podaż jest wielka, zapotrzebowanie małe, niemogące się nawet równać z powodzeniem literatury powieściowej. Nie idzie już o Sienkiewicza, którego marka w handlu księgarskim pozostawiła za sobą wszelkie marki literackie, nie idzie nawet o tych kilku powieściopisarzy i powieściopisarek, których znaczenia i talentu w literaturze nie przyćmiła gwiazda tego szczęśliwego tryumfatora, ale każda powieść przerastająca średnią miarę artystyczną przedstawia dla wydawcy lepszy interes, niż płody poetyczne choćby najwięcej przez krytykę chwalonych autorów. Wyjątek jedyny jeszcze stanowią Asnyk i Konopnicka, ale dalekim byłby od prawdy, ktoby sądził, że ich poezyj sprzedaje się przeciętnowo rocznie więcej niż 200 do 300 egzemplarzy. A cóż dopiero mówić o innych mniej głośnych poetach? Pomijając już starych wielkich mistrzów, nawet Pol, Syrokomla, Lenartowicz mają od tych „młodych“ więcej powodzenia na rynku księgarskim.

Jaka tego przyczyna? Chyba nic innego, jak to, że nowe pokolenie poetów nie umie tak jak dawne przemawiać do serc słuchaczy, nie umie się dostroić do potrzeb ich ducha, że dobrowolnie pozbywszy się znamion kapłaństwa, nie uderza „w strunę drugą: w czynów stal“.

Ten swój pewien rozbrat ze społeczeństwem i potrzebami chwili uznawali zresztą prawie wszyscy nasi pieśniarze. Nie ma może ani jednego, któryby nie odczuwał skarlenia pieśni, któryby, jak Asnyk, nie uznawał konieczności „aby pieśni w czyn się zmieniały“. Już Sowiński wołał:

....Biada temu, czyje natchnienie
W piersiach pokrewnych szerzy zniszczenie,
....Kto z braćmi dzieli zgrzytania swoje,
Walki, upadek i niepokoje, —

i chciałby „z dantejskich barw i palących jak grom wyrazów utworzyć pieśń... skruszyć gmach zniewieściały naszej natury“, bo kto chce być „wieszczem bratnich ciżb“, ten musi porzucić „ckliwe gruchania“ i „zdawkowych poziom wyobrażeń“, a stać się

....słowem wielkich wrażeń
Sumieniem w ciemny wpływającem gmin,
Pamięcią żywą bohaterskich zdarzeń,
I wiarą uzbrojoną w czyn.

Do czynów nawoływał pieśń przedwcześnie zmarły, na wskróś szlachetny Stanisław Grudziński:

Naprzód ty kochanko ducha,
Czynów hasło, naprzód pieśń!
Niechaj tłum, co ciebie słucha,
Swej apatyi zetrze pleśń!

Nie słowami Stwórcę chwalić,
Nie pokutą zbyć się win,
Lecz ciemności państwo zwalić
A modlitwą zrobić czyn!

„Czemże Homer potężny, czemże Szekspir wielki“ pytał Gomulicki — oto tem, że lud ich czci „bo mu własne odgadują życie“, bo „ich muzy to kapłanki, a nie wichrzycielki“. A dalej ten sam poeta przemawiał z niezwykłą siłą do swoich braci po sztuce:

Ty dzielisz pieśń od czynu? Wspomnij Tyrteusza,
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia...
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Który kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha,
Gdy jej dobrze, a cierpiąc równie słodko kwili —
Idzie ona do boju jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.

Nie pozostała w tyle za innymi i Konopnicka:

Więc ja mam głos! Więc ja wam śpiewać pocznę,
Ja płomień tchnę w te smutki wasze mroczne,
I pieśnią wam przyspieszę serca bicie,
Na nowy bój, na nowe męskie życie!

Czuł i Komorowski, że „nie u nas stroić się poecie w róże“, wołał i Miriam do poezyi: „Mojżesza laską bądź i twardą rozbij skałę“. Kasprowiczowi zdawało się nawet, że nasza poezya wypełnia już swoje wielkie posłannictwo, że jest

..... — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni,
Nasza poezya bez wizyj i cudów,
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa,
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa!

Nie wyczerpując całej litanii tych „dobrych chęci“, przytoczmy jeszcze słowa jednego z najmłodszych, Niemojewskiego:

Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie,
My dumne podnieśmy dziś czoło!
Ulecim jak ptaki zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie,
Wesoło my lećmy, wesoło!

A jednak pomimo tych wszystkich nawoływań do czynu, pomimo, że jak widzimy nie można zarzucić naszym poetom braku zrozumienia potęgi natchnionego słowa, trudno się nie zgodzić na określenie Adama Bełcikowskiego, że nasza poezya „lubi dziś miniatury i kamee“. Zakochani w drobiazgach artystycznych, w półtonach, w szmerach własnego serca, w jubilerskiej oprawie świecących i barwnych kamyków, w estetycznej kontemplacyi i w biadaniach nad znikomością rzeczy ludzkich, — młodzi poeci nasi dobrowolnie nie wzbijają się w nadpowietrzne szlaki, nie przyczyniają się do tego, aby „błysła w słońcu poezyi korona kapłańską przewita wstęgą“ (Ujejski).

Ten stan wywołał świeży protest. Bezimienny poeta rzucił na papier 76 strof oktawowych, z których każda brzmi tęsknotą za dawną potęgą pieśni i każda chce się wżreć w serca pieśniarzy, aby pobudzić ich do nowej walki, prowadzić do nowych zwycięstw[1]). Kto jest autorem tego protestu, nie wiadomo, można się tylko domyślać, że zapewne jeden z tych, co niedawno wpisali się w poczet naszych pieśniarzy i sami ulegali wpływowi ich otoczenia. Jak bowiem Słowacki rzucając w twarz straszne oskarżenie społeczeństwu, mówił, że pisze „bo smutny i sam pełen winy“, tak i autor protestu mówiąc o dzisiejszej pieśni „maleńkiej“ dodaje: „ja sam pieśń taką śpiewałem, a przecie czuję, że inne, większe są na świecie“.

Nie nęci go pieśń, która tylko jęczy, w której tylko śpiewak własne śpiewa bóle. Choćby nawet „perłami fontanny pieśń się ta skrzyła“, nie wzniesie się ona pod niebiosa, bo nie „idzie w błękit barwne kwiecie“, bo „wśród zniszczeń dęby jedno patrzą w górę i świerki szczytne, dumne, choć ponure“.

Wiem, że pieśń musi być, jak dzwon potężny,
który umarłych budzi, żywych woła, —
i pieśń, jak orzeł lotem niebosiężny,
z okiem na słońce i z wichrem u czoła, —
i pieśń, jak odgłos strasznych trąb mosiężny
nad Chalcedama rolą, gdzie anioła
piersi uderzą takich wichrów szałem,
że prochy duchem staną się i ciałem.

I pieśń być musi jak ludów królowa,
jak sztandar zdarty z kul ognistych deszczu,
i jak w płonącym krzu straszny Jehowa,
i jak pioruny, gdy przy ziemi dreszczu
Bóg na Synaju grzmiał praw swoich słowa.—
Taka pieśń musi być — a taka w wieszczu
święta potęga, jak w Mojżesza dłoni,
za którą poszedł lud wskróś morskich toni!

Lecz gdzie dziś szukać takiej harfy, której „struny umieją błyskać, grzmieć, rzucać pioruny“. Są wprawdzie harfy naszych mistrzów stare, ale pokrył je już pył wiekowy — w nich pieśń jak mumia śpi i śni może, kto ją zbudzi, — czyż zresztą budzić ją należy i dla kogo? Nam rozbitkom „gwiazdy nie świecą i nie masz kompasu, któryby drogę pokazał przez tonie“. Jesteśmy „trzodą na pustym wygonie“, pozbawioną pasterza, coby ją strzegł od drapieżnego wilka. Ale był pasterz:

„Ja milion jestem! — wołał — bo mam serce,
co kocha, cierpi za ludów miliony —
jam jest wiecznością ukrytą w iskierce
życia, — jam duszą w mój naród wcielony,
a mocy żądam, by lud w poniewierce
ginący podnieść!

A nie ten jeden tylko pasterz bronił trzody swojej, byli jeszcze dwaj inni, co „z krzyżem ciężkim szli przez drogi mleczne i darli się duchem do nieba.“

---

[1]) „Stance o pieśni“ Kraków 1897 str. 35.

Oto trzy krzyże były na Golgocie
i trzy na krzyżach przygwożdżone słońca;
a jedno w tęczach, miało gromów krocie
w ustach, — a drugie było jak obrońca
czasów i szermierz ducha w świętym locie,
trzecie, jak matka, z miłością bez końca,
a wszystkie były krwawe i zbolałe,
lecz pod powłoką krwawą wewnątrz białe.

Lecz pod krzyżami tylko matka wytrwała, bo serce matki się nie zmienia, a uczniowie trwożni poszli skryć się do domu. Nie! tak źle nie było: pozostali dwaj wierni uczniowie. Jeden z nich wołał głosem Jeremiasza a drugi „śnił na grobach“

To dwaj ostatni, co się mierzyć mogą
z mistrzów pomarłych nieśmiertelną chwałą,
co idą jeszcze wielkich ojców drogą,
Choć wzięli po nich spuściznę nie całą...
Tysiąc u tamtych strun dźwięków pożogą
na bój, do słońca, do czynu wołało,
a dziś — dwie struny zostały na lutni,
ostatni grają na nich — obaj smutni!

Ci dwaj lirnicy przyszli na miejsca, gdzie brzmiało wesele. Jeden oszalały bólem wołał ze skargą „do Tego, co królem na niebie“, a drugi „wodząc suchem okiem po zniszczeń obszarze“, dumał i czekał, wierząc w przyszłość i głosząc potrzebę cierpliwości. A tymczasem „śpi ta struna, która trupy budzi, a żywym skrzydła przypina sokole“.

Piewcy się nie chcą jąć krwawego trudu
Nie chcą być źródłem skąd życie wystrzela,
A kiedy rzesza spragnionego ludu
Pogardzi pieśnią....
Mówią: „poezyo, ty paryasów mowo,
Kocham cię, żeś jest upadłą królową“.

Nie tak mówili pieśniarze starzy i za to cześć im i chwała, tak tym trzem wielkim, których duch jeszcze dotąd pała i pałać będzie, jak i tym dwom co wziąwszy po tamtych trzech spuściznę

Iskier szukają i stają na straży
Opustoszałych królowej ołtarzy.

A wy dzisiejsi skarżycie się tylko, że poezya już „swój królewski zrzuciła dyadem“, że świat „bluźni tej pani odartej z purpury“.

Wy się nie skarżcie, bo to nie tych winą,
co w pocie czoła pracując nie słyszą
pieśni, więc myślą, że już wszystko gliną —
ni tych co martwą przerażeni ciszą
złotem się cieszą, winą i dziewczyną:
to wy, pieśniarze, sami szatę mniszą
tkacie królowej, wy najwięcej winni!
Świat będzie inny, lecz wy bądźcie inni!

Kto pozwolił paść sztandarom w walce i kto zamiast „świat poić z świętej natchnień czary“, przyjął na się „rolę płaczka lub żonglera?“ Mówicie, że świat zasnął, — więc go zbudźcie — mówicie, że łaknąc chleba wzgardził Słowem, ale gdzież to Słowo? Poeta chciałby śmiać się, urągać, pragnąłby, aby mu czynem zaprzeczono. Dajcie dowód, że słowa jego nie mają słuszności.

A wiem — możecie! I wy macie oko
błyskawic pełne. pełne wichru piersi, —
woli brak tylko, by wznieść się wysoko!
O, bądźcież w myślach potężniejsi, szersi,
świećcie jak gwiazdy nad cieniów epoką,
nie samolubni w uczuciach i szczersi, —
nie roztrwaniajcie na cacka potęgi,
purpury ducha nie tnijcie na wstęgi!

O niechajby przyszedł już raz pieśniarz przyszłości! Lecz bądźcie przeklęci jeżeli tych, co głodni i ślepi wołają do was, odepchniecie z szyderstwem i chłodem. Wy „złote ptaki“, co macie lot świetny lećcie, a innych wznoście, bo nie dość „pokazać słońcu swe tęczowe pióra“ lecz trzeba walczyć. Nie mówcie, że nic zdziałać nie możecie dlatego, że tylko pieśń bronią waszą. Lud jest zimny jak prochownia, a wy macie możność ją zapalić. Nie żałujcie cierpień i pracy, lecz dziś pługiem targajcie zagony, aby *jutro* plon zbierało.

Do skrzydeł, orły! — jest błękit bezmierny
i wichry, które łamać piersią lubo!
Do szponów, orły! — oto kruk niewierny
gołębim gniazdom w dole grozi zgubą!
Do słońca, orły! — ziemski lud bezsterny
ciemnością zewsząd otoczony grubą,
błaga was, byście mu wskazali okiem
drogę w obłoki i ponad obłokiem!

. . . .

A więc tej Pieśni, co dłonią wzniesioną,
bezsenna, w świętym natchnienia obłędzie
jasnowidząca, gwiazdę oddaloną
wciąż pokazuje i w szalonym pędzie
tententem wstrząsa martwe ziemi łono —
chwała na niebie i ziemi niech będzie;
bo ona życia, światów rodzicielka
i duchów pani a królowa wielka.

Jeśli zaś mówi kto, że na tym świecie
pieśń ma ochłodą tylko być, uciechą,
na kamieniste ścieżki sypać kwiecie,
łzy tylko suszyć pod ubogą strzechą,
pieścić ma, bawić, być tylko jak dziecię,
którego śmiechu smutek płoszy echo,
i złocić ściany wielkiej świata kuźni:
jeśli kto mówi tak — zaprawdę, bluźni!

Pieśń ma większe zadania do spełnienia. Ona przed oczyma ludu stawiać winna obrazy, „które w życiu snem są jeszcze“. A jeśli zdoła rozpalić w tłumie tęsknotę do tych obrazów, jeżeli go zrobi gotowym do usuwania przeszkód na drodze do świetlanej przyszłości, jeżeli zdoła „innym znowu dać moc i nadzieję“

to pieśń taka święta, choćby nawet ślad drogi znaczyła mogiłami. Jeżeli wy pieśniarze nie czujecie w duchu siły do takiej pieśni, jeżeli pragniecie spoczynku nie ruchu, lub jeśli „w własnych słów tkankę pajęczą, w własnych zwątpień i boleści sidła wplątani“ uznacie za marne mamidła wielkich dusz porywy, to

Wiedzcie: chociażby z ust wam perły, róże
 leciały — „jutro“ wieków was zapomni!
Bo kiedy wstaną na tej ziemi burze,
 które wzniecają sercami ogromni,
w proch pójdą kwiatów, pereł pełne krużе,
 a nowych czasów rycerze niezłomni
tych wezmą hasła, jako spadkobierce,
 którzy przyszłości dawali swe serce!

Ostatnie strofy protestu tchną wielką nadzieją zwycięstwa w walkę o światło.

Nie pisaliśmy rozbioru, lecz streściliśmy myśl przewodnią utworu bezimiennego poety. Chcieliśmy zaznaczyć pojawienie się tej skargi na niemoc naszej poezyi, tego głosu wzywającego pieśniarzy do usłuchania Krasińskiego, dla którego już „dość długo brzmiał na strunach wieszczów żal“, który im kazał „uderzyć w strunę drugą, w czynów stal“. Czy młody poeta obliczył się ze swojemi siłami, czy głos jego jest dość potężny, aby został wysłuchany, — to rzecz inna. Dość, że wyśpiewał to, co czuł i to, co czują tysiące tych, co mówią za Mickiewiczem: „tu róże zwiędły, innego chcę barda“.

Choć jednak nie piszemy rozbioru, musimy przyznać młodemu poecie szczerość uczucia, siłę słowa i formę prawie wszędzie zupełnie poprawną. Zarzucić można jedynie pewną rozwlekłość. Ta sama rzecz skrócona o połowę, zyskałaby na zwięzłości. Autor parokrotnie się powtarza, powraca do tych samych myśli, choć je innemi oddaje słowy. Może to wreszcie drobnostka, ale nie podoba nam się sam tytuł utworu. „Stance“ to także kamea, miniatura językowa, a nie zrąb granitu. Obcy i sztuczny wyraz nie odpowiada treści, nie pozwala jej nawet domyślać się.

K. B.

RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Wobec podniesionego przeciw nam zarzutu, że recenzye *Przeglądu literackiego* nie są w jednym duchu i kierunku pisane, zwracamy uwagę, że *Przegląd* jest organem „Związku literackiego“, który składa się z ludzi różnych przekonań politycznych i społecznych. Jeżeli więc Redakcya *Przeglądu* stara się usilnie, aby łaskawi jego współpracownicy unikali wszelkiej polityki, to nie może znowu iść tak daleko, aby wymagała od nich wyrzeczenia się ich własnych poglądów estetycznych i sympatyi do pewnych kierunków literackich. Utrzymanie i pod tym względem jednolitości, nadałoby naszemu pismu cechę organu pewnego stronnictwa, co stałoby w rażącej sprzeczności z celem i programem naszego wydawnictwa. *Redakcya.*

Aleksander Świętochowski. *Pisma.* Tom I. Obrazki powieściowe.

Każdy, kto weźmie do ręki I tom „pism“ Świętochowskiego, wzrok swój zatrzyma z pewnością przez chwilę dłuższą albo krótszą na podobiźnie autora. Wielki interes przedstawia twarz człowieka, którego się spotka w towarzystwie, a o którym się słyszało bardzo wiele; śledzimy każdą zmianę jego oblicza, staramy się dopatrzeć tak w wyrazie ogólnym jak w każdym rysie tych cech, któreśmy przedtem znali. Nie potrzeba zaś chyba dodawać, że ten, kto autora „Duchów“ nie widział nigdy, z ogromną ciekawością przypatrywać się będzie jego wizerunkowi.

Czy tak jednak wyobrażaliśmy sobie Świętochowskiego? Możeli tak wyglądać człowiek, o którym tyle krzyczano, że to pyszałek, nie kochający nic tylko siebie i własną wielkość, pełny nienawiści, złości i przekleństw dla tych, co go otaczają... Jest że to oblicze, wreszcie pisarza, co tak niedawno jeszcze rzucił prasie warszawskiej te słowa pełne pogardy i słusznego poczucia swojej wyższości:

„Ci szanowni panowie, którzy ustawicznie kręcą korbę katarynki z jedną melodyją owej solidarności, a którzy umieją cenić i przeceniać tylko własne roboty, którzy przemilczą o każdej zasłudze, znieważą każdy uczciwy i pożyteczny czyn, poza obrębem swego bractwa, niech mi wierzą, że oni nigdy tak szczerze się nie śmiali z niczego, jak ja się śmieję z ich zabawnych min i ich małości... Cokolwiek oni powiedzą, moja karawana pójdzie swoją drogą i do swego celu. Na to nie znajdą żadnego środka w całym arsenale swej maleńkiej złości...“

Oblicze, które patrzy na nas z pierwszej karty „pism“, jest przedewszystkiem bardzo smutne, poważne i spokojne. Nie jest to stanowczo twarz człowieka, co pełen sił i wiary sposobi się do bojowania i przechodząc ulicami miasta zwołuje obywateli, płomiennie przemawia do nich, zgromadza w szeregi, by poprowadzić do walki, — ale tak smutnie, tak daleko i tak spokojnie patrzy może ten, co zmęczony gwarem, mordęgą miasta, wszedł na wysoką górę i z niej spogląda na tłok domostw u stóp swoich. Zna on dobrze życie miejskie: swarliwe wrzaski na rynkach, handel i brzęk pieniędzy głuszący wszystko, płytkość i mętność fali, płynącej hen ulicami, i zbyt długo patrzał na bezład i małą siłę zabiegów człowieczych i zbyt długo przysłuchiwał się niesfornemu łoskotowi, aby nie wiedział, że tylko po ogromnych i nieskończenie długich mozołach uda się ze zgiełkliwej giełdy uczynić poważną świątynię pracy; nie dlatego wszakże opuścił miasto, iż znienawidził jego mieszkańców, — nie, on kocha wszystkich mimo ich rąk zbrukanych w kurzu szarej powszedniości i od rdzy pieniędzy, za któremi ręce te z takiem zapamiętaniem się goniły, — widok tylko ludzi i rzeczywistości znużył go, napełnił go

smutkiem; poszedł przeto na szczyt góry skąpać się w odżywczych powiewach...

Im dłużej się obliczu temu przypatrujemy, tem więcej napływa nam do pamięci zdań, myśli, urywków z rozmaitych artykułów autora.

„Chcąc służyć dobru społecznemu, trzeba je ukochać gorąco we wszystkiem i wszystkich, a nietylko w swojej główce, w swojem serduszku, w swoim interesiku...“ Potem piękny ustęp z rozmyślań z powodu Wielkiej Nocy, w których „poseł prawdy“ bolał nad tem, iż świat teraźniejszy tak odbiegł daleko od nauk Chrystusa, iż przykazanie miłości położył sobie na wargach, gdy w sercu kłębią mu się złość, egoizm i nienawiść. Albo owe słowa o Chrystusie:

„Chrystus nie otworzył własnego jedynie serca, ani serca swego narodu, lecz wyjął serce z piersi rodu ludzkiego, położył je na przeczystej dłoni, pokazał jego rany, ucałował je i dotknięciem kochających ust zabliźnił. Umiłowanie wszystkich i przebaczenie wszystkim, związanie całej rodziny człowieczej węzłami braterstwa, zupełne zrównanie jej członków wobec prawa i obowiązków, wygnanie z życia obłudy, nienawiści i okrucieństwa, przeniesienie jego celów ze świata nizkich żądz w świat najwyższych ideałów, otoczenie anielskiemi skrzydłami ubóstwa i wszelakiej maluczkości — to są idee, które nietylko przed 2000 lat, nietylko dziś ale i zawsze będą drogowskazami najmniejszego i największego człowieka...“

Słowa takie może podyktować tylko wielka miłość, i zgadzamy się zupełnie z krytykiem rosyjskim p. Ldowym, który w swojem dość bladem zresztą studyum o Świętochowskim, gdzie najciekawszym był przetłómaczony długi list samego Świętochowskiego, nazywa go poetą miłości. Z miłości więc wypływały gniew, wzgarda, oburzenie, któremi Swiętochowski ciskał w swoich przeciwników; miłość też kazała mu brać do ręki bicz, smagać nim społeczeństwo boleśnie, „sięgać do wnętrza trzew i targać“, wyszydzać nielitościwie i „czerep rubaszny“ i „czerwone kontusze i złote pasy“... boć ogniem są i dobroczynne promienie i gromy niszczące; ogień i tu i tam.

Porównajmy wszakże Prusa, to czułe serce naszej literatury, pełne dobroci i łez dla niedoli maluczkich, ze Świętochowskim; są to dwa kontrasty, ale obu można nazwać „poetami miłości“. Mogą być w ludziach dwa rodzaje miłości; pierwsza to idąca z serca, obejmująca ludzi, ale nie ludzi w ogóle, tylko ludzi tych, których się zna, widzi, spotyka, którymi się jest otoczonym; druga miłość ma swoje siedlisko w głowie: kocha ona już nie konkretnych ludzi, ale ideę ludzi, ludzkość; pierwsza jest gorętsza, silniejsza, druga szersza. Pierwszą noszą najbardziej rzewni, najbardziej kochani powieściopisarze, druga odznacza greckie umysły filozoficzne, poetów.

Powieściopisarz (rzetelny, powieściopisarz z Bożej łaski) bierze za pióro wtedy, gdy mu serce rozrani widok jakiego nieszczęścia, jakiej niedoli człowieka; widok ten pali mu serce i płonie w głowie tak, iż pisać musi; pisząc stara się jeno o to, by to, co napisze, taksamo jak jemu, wżarło się w serce czytelników; niech wnioski z tego faktu wyprowadzają inni. Filozof kocha przedewszystkiem ideje: ideę równości, braterstwa, sprawiedliwości, miłości, zaboli go więc głównie nie to, że naprzykład niedołężnemu od długiej pracy robotnikowi, któremu ukradziono zaoszczędzony grosz, grozi straszna nędza, ale że stał się fakt kradzieży, odstępstwo od zasady sprawiedliwości i miłości, fakt okrutnej egoistycznej złości. Doskonale udowodnią tę myśl obrazki powieściowe Świętochowskiego.

Pierwsze trzy, złączone w jedną całość pod wspólnym tytułem: „O życie“ wyszły były już dawniej, są więc prawdopodobnie znane większości czytelników „Przeglądu literackiego“. Opisuje w nich autor dzieje Małorusina Capenki, żydówki Chawy i Niemca szląskiego Kruga, którzy to wszyscy giną krwawo, zamordowani, walcząc o byt, nie dlatego, iżby byli słabsi i gorsi, ale że jako obcy przybysze budzili we wszystkich niechęć i nawet nienawiść. Wszystkie te trzy obrazki kończą się prawie temi samemi wyrazami: „Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała — przebaczam“. Autor chciałby wszystkich ludzi złączyć w jedną ogromną rodzinę, znieść zapory stawiane przez fanatyzm, wyłączność narodowościową, widzieć miłość rozlaną we wszystkich dla wszystkich, przesuwa więc przed czytelnikami krwawe obrazy dla wykazania zgubności i krzywdy, zawierającej się w uczuciach niechętnych dla cudzych. W obrazku „Oddechy“, najlepszym po znanym ogólnie „Klemensie Borucie“, mamy opowiedzianą dolę Lorenza Trinkbier'a, zniemczałego Polaka, kornego, spokojnego, przypłaszczonego do ziemi człowieczka, który jest Niemcem więcej niemieckim od swego biurowego naczelnika nawet — plus catholique que le pape, i drobniejszym się czuje w porównaniu z tym Jowiszem od pyłku na podeszwie jego, gotów modlić się do Bismarka a przy wyborach głosuje tak jak mu rozkaże pryncypał, — a mimo te wszystkie zalety zostaje wypędzonym z posady za to, że niegdyś on sam albo może ojciec jego zwali się: Wawrzyniec Tryncza. Jakkolwiek dzieje tego Lorenz'a zostały przedstawione z wielkim talentem, i scena końcowa, kiedy to stroskany bohater przysłuchuje się trwożnie oddechowi swoich pięciorga dzieci, chorych na dyfteryt, a jednocześnie przynoszą mu papier z policyi, że ma „opuścić Prusy poddany rosyjski, w przeciągu dni ośmiu“, sprawia silne wrażenie, • nie możemy się pozbyć myśli, że cała ta opowieść to tylko przykład, przytoczony przez autora dla zilustrowania okropności fanatycznego szowinizmu barbarzyńskiego i bezwzględnego, uciskającego w poczuciu prawa silniejszego słabych,

i dlatego nie smutny los Lorenz'a nas porusza, ale przypominamy sobie tę płachtę nieszczęścia, którą jedna okrutna, potworna ręka, rzuciła na ogrom ludzi, i boli nas, że dotychczas tyle złego robi człowiek człowiekowi.

Ostatni obrazek, gdzie przesuwa się przed nami gromada wołów, pędzonych na rzeź, nad któremi się znęcają, został również napisany dla zobrazowania filozoficznej myśli: „co ma prawo do życia, to pozostaje pod osłoną wszystkich naszych uczuć; co na rzeź przeznaczone, zasługuje tylko na okrucieństwo“. Tu naprasza się porównanie z nowelą o podobnej treści, jedną z najlepszych Maupassant'a: Coco. Różnice występują ogromnie jaskrawo. Autor francuski opisał śmierć starego konia, którego parobek morzy głodem; nie wypowiedział żadnej myśli, ale dał jaskrawe malowidło, i malowidło to jak i myśl zawarta w noweli wraziły się na zawsze czytelnikowi; obraz wołów zaś zaciera się od razu. Świętochowski nie umie wcale opisywać jaskrawo, plastycznie; obrazki jego przypominają jakby opowieści, któremi w estetycznym salonie gospodarz, bardzo rozumny, znający życie, zabawia swoich gości, albo dyjalogi filozofów greckich z uczniami. Wielcy realiści europejscy i nasi tak opisują nędzę, brudy, złe, że czytelnik aż oczy przymyka i kurczy się; u wielu śród nich (kilku młodych u nas) życie przybiera postać upiorzycy, którą opisuje Tetmajer, z piekielnych kędyś wywioniętej wrót, o trupio-żółtem licu, toczonem przez trąd, żarłocznych sępich oczach, w łachmanach z gadami w umierzwionych włosach; postaci takiej nie ujrzymy nigdy na kartach dzieł Świętochowskiego. Chcąc poznać życie współczesne, odmęt brudów, występków, krzywd i nędzy, trzeba się zwrócić do realistów, — ten zaś kto pragnie napawać się harmoniją, niech czyta pisma Świętochowskiego; znajdzie tam piękno spokojne, harmonijne, piękno zbliżone do piękna greckiego. Może to jest bardzo błędne spostrzeżenie, ale napastuje nas, ilekroć czytamy Świętochowskiego. Jest tam zawsze coś z piękna greckiego. I dlatego książki jego najlepiej czytać, przechadzając się w dużym cienistym ogrodzie, pod bardzo błękitnem niebem.

Kazimierz Zdziechowski.

Władysław Reymont. *Fermenty*, powieść. (Biblioteka Warszawska za rok 1896).

W roku zeszłym pisząc w numerze ostatnim *Przeglądu literackiego* o „Komedyantce“, zaznaczyłem: „czytelnikowi żal bohaterki, jej sił i prawości, to też z prawdziwą radością w wychodzącej obecnie (w Bibliotece Warszawskiej) powieści „Fermenty“, spotykamy Jankę Orłowską wyratowaną ze szponów śmierci“. Bohaterka więc żyje, a autor w dalszym ciągu snuje dzieje serc ludzkich i usposobień, z nieznierną plastyką maluje typy i charaktery, a powieść nawet o zwykłym temacie, z powszechną fabułą, staje się zajmującą ze względu na psychologię osób w niej działających.

Janka wraca do ojcowskiego domu i powoli przychodzi do zdrowia, uczuwa przyjemność z tego, że jest, że żyje, że zaraz, jak tylko zechce, może wstać i iść, ale równocześnie ze zdrowiem przychodzi świadomość tych chwil niedawnych i cierpkich słów ojca „precz z mojego domu“ za to tylko, że nie chciała wyjść za mąż za Grzesikiewicza, którego mimo jego zalet nie kochała. Słowa despotycznego ojca padły na hardą naturę dziecka; Janka wyjechała, a dzisiaj — mimo objawów tkliwości rodzicielskiej „poczuła ból tamtej, przeszłej chwili“. Stary Orłowski, którego posądzaliśmy w „Komedyantce“ o brak serca, ma rodzicielskie uczucie, tylko ukryte pod powłoką sztywności i dziwactw. Za skryty jest, żeby wywnętrzać się przed córką lub przyjacielem z tego, co go boli, a za dumny, żeby żądać litości lub współczucia, ale autor misternie, z głęboką znajomością psychologii ludzkiej umiał wtajemniczyć czytelnika w to wewnętrzne „ja“ Orłowsktego.

Ojciec Janki, od dłuższego czasu przebywający na stacyi Bukowiec, pełnił służbę naczelnika stacyi a zarazem ekspedytora. Czynności te sprawował systematycznie, ale w końcu pedantyzm przerodził się w maniactwo i przekroczył granice zdrowego rozsądku. Orłowski jako naczelnik, posyłał skargi na ekspedytora Orłowskiego, jeżeli mu się zdawało, że ten niewłaściwie postąpił. W jednym z takich wypadków dyrekcya znając nieszkodliwe dziwactwa naczelnika, odpowiedziała urzędownie, żeby ściągnął 3 ruble kary z ekspedytora. Orłowski, który od pewnego czasu przedstawiał klasyczny przykład rozdwojenia osobowości, pozostawszy sam na sam w pokoju począł czynić głośne wymówki ekspedytorowi, ten zaś tłómaczył się, dlaczego zasłużył na naganę.

„Żydzi się tłoczyli, krzyczeli, uderzyłem jednego, prawda. Podnieśli krzyk, kazałem ich wyrzucić, prawda... ale niech pan naczelnik pamięta, że wtedy córka była śmiertelnie chora, że ją dopiero co przywiozłem z Warszawy, że byłem bardzo nieszczęśliwy. Panie naczelniku! a gdyby tak panu jedyna córka odjechała z domu, poszła do teatru, nie pisała przez kilka miesięcy, gdyby tak pana, ojca, rzuciła jak stary łach, i gdybyś pan to dziecko tak kochał, jak ja kocham, i gdyby ci potem zachorowało śmiertelnie, czy miałbyś przytomność, czy miałbyś poza nią jaką służbę? O, co ja wycierpiałem, co ja przeszedłem! — Jęczał, zakrył twarz rękoma i szeptał przez łkanie, łzy zaczęły mu przeciekać przez palce i spływać po zbladłych policzkach, i taki ból, taki wściekły ból skręcił mu serce, że tracił chwilami przytomność, chwytał się poręczy krzeseł, żeby nie runąć, kręcił się w kółko, składał błagalnie ręce i szeptał jakieś niedosłyszalne bolesne skargi, to milczał długo wpatrując się z pokorą w tę urojoną postać naczelnika, w to drugie swoje ja, które widział przed

sobą najwyraźniej“. Janka to wszystko słyszy, a jednak nic ją do domu nie przykuwa, walczy z chaosem, a żądza wrażeń nie daje jej spokoju. Na domiar, w Kielcach spotkała się z dawną swoją trupą ogródkową, ulega namowom i postanawia, mimo nędzy i zawodów, jakich doznała, z powrotem wstąpić do teatru. Obiecano jej rolę bohaterek i gażę regularniejszą... W Jance, autor stworzył typ histeryczki, tembardziej wytłomaczony, że i ojciec jej ulega objawom patologicznym. Jednocześnie rozczula się nad dowodami miłości ojcowskiej, ma pełną świadomość jego stanu i przeszłych cierpień, a jednak wybiera się do teatru, który kocha nerwowo jako skarbnicę wrażeń. Orłowski teraz nie wyrzuca jej z domu, przeciwnie, widząc na co się zanosi, mówi spokojnie: „Jedź, masz tutaj wszystko, co tylko mam i zaczął wyjmować i rzucać na stół listy zastawne, pożyczki premiowe... Masz, nie będziesz cierpiała nędzy, a mnie te pieniądze już na nic, mnie już na nic nie potrzeba. Zaprzestał na chwilę, odetchnął głęboko, zapatrzył się w jakąś głąb i mówił dalej: nic mi już nie potrzeba. Dyrekcya da na mój pogrzeb. Zostanę sam, położę się zaraz i umrę... umrę... umrę... powtarzał wolno, coraz wolniej, głowa zaczęła mu się trząść... podniósł ręce do twarzy, poczerwieniał i runął. Zdążyła go jeszcze chwycić nim upadł na podłogę.. Jedź dziecko, nie wstrzymuję cię, bo wiem, że to dla ciebie szczęście. My starzy, my ojcowie czy matki, jesteśmy egoiści, chcielibyśmy dzieci zawsze mieć przy sobie. Jedź, proszę cię o to. Ja tutaj sobie radę dam i chociaż sam zostanę... chociaż ciebie nie będzie... chociaż... Przysięgam Bogu, że chcę tego! krzyknął, uderzył pięścią w stół i zamilkł, zabrakło mu już sił, opuścił głowę na piersi z jakiegoś strasznego zmęczenia i nie miał sił powstrzymać łez, które polały się z ócz dwoma strumieniami. I nic już nie mówił, tylko płakał, jak dziecko“. Jankę to wzruszyło, postanowiła nie jechać, a wobec stałych dowodów przywiązania ze strony Grzesikiewicza, zgodziła się zostać żoną jego. Błysnęła myśl w jej głowie, osiąść na wsi wraz z ojcem, zdala od tych wspomnień tak ciężkich i bolesnych; słysząc to „Orłowski zerwał się z fotelu, oczy mu rozbłysły dawną energią i wdzięcznością, upadł przed nią na kolana i nim zdążyła mu wyrwać objął jej nogi i całował“.

Nastały chwile częstego widywania się z Grzesikiewiczem, człowiekiem młodym, inteligentnym, synem dorobkiewicza.

Przy wznowieniu stosunków, uczciwość nakazywała Jance zaznajomić go z swoją przeszłością, lecz oświadczył, „życie nasze nie będzie miało wczoraj, zaczyna się od dzisiaj i będzie jutrem“. Janka była bardzo wdzięczna, że nie chciał jej spowiedzi, a jednak, to „wczoraj“ srogo się mściło na niej. Grzesikiewicz odebrał listy anonimowe o jej przeszłości; nie było w nich obrazu boleści, cierpień i szamotań z losem, jakie przebyła, tylko w najczarniejszych kolorach odmalowane to, że stała się chwilowym łupem człowieka, który umiał ją sobie zjednać pozornem zamiłowaniem do sztuki. Katastrofa była gotowa, wieści te Grzesikiewicza zgnębiły, a ojca przyprawiły o nowy wybuch gniewu najpierw szalony, potem cichy i spokojny. Zwaryował biedak na dobre, zamknął się w swojej kancelaryi, podpalił papiery, a gdy drzwi wyłamano i wyniesiono go stamtąd, oczy miał wypalone i cały był poparzony. Pośrednie sprawczynie tego to Osiecka, wdowa, obywatelka z sąsiedztwa, baba wścibska, plotkarka i Józia rodzona siostra Grzesikiewicza, z jednem okiem żółtym, drugiem niebieskim, ambitna ale zarazem podstępnie mściwa chłopska natura. Pierwsza działała, aby tylko zgnębić „komedyantkę“, druga zazdrościła przyszłej bratowej dystyngowanych manier, wykształcenia, a nadewszystko tego pałacu, do którego Grzesikiewicz ma ją wprowadzić. Intrygi jednak nic nie pomogły. Grzesikiewicz kocha szczerze Jankę, zna jej prawość i szlachetność, przypomina sobie, że on sam zamknął jej usta, nie chciał słyszeć o przeszłości. Czas boleść uspokoił i nadeszła tak upragniona przez niego chwila połączenia. Po ślubie odbyli podróż do Włoch, a po powrocie Janka chociaż zamieszkiwała pałac, zmuszona była przestawać z ludźmi zupełnie prostymi, innych nawyknień i wyobrażeń.

Stary Grzesikiewicz „jaśnie Pietr dziedzic“ jak się nazywał, wszystko co nie pachniało alkoholem i było nieprodukcyjnym wydatkiem nazywał pańskimi grymasami, a chociaż wraz z żoną dumny był z synowej „kiej królewny“ i na każdym kroku uznawał jej wyższość, to jednak właśnie dla tego mścił się, nie szczędząc najprzykrzejszych docinków. Janka czuła się tu obcą, nie miała serca, któreby w całości ją zrozumiało. Mąż zajęty gospodarstwem, nie zdolny do pojęć i uczuć abstrakcyjnych, mimo całego przywiązania nie mógł wypełnić jej życia — ojciec obłąkany i niewidomy, to żywa karta bolesnej przeszłości, a teraźniejszość? Czuła, że jasną teraźniejszością dla niej byłby stosunek z Witowskim, sąsiadem i przyjacielem męża. Pociąga ją ku niemu jego temperament, subtelność, to wszystko co obce jej najbliższym, ale Janka jest za szlachetna, walczy ze sobą, a że myślom tamy postawić nie można, nie jej w tem wina. W tem bezwiednem upojeniu o Witowskim staje się czulszą, wrażliwszą na pieszczoty męża, którego prawie w tej chwili nie widzi, a sąsiad... z ogrodu niemy świadek tej sceny, nie chcąc mącić rodzinnego szczęścia, wyjeżdża za granicę.

Mały przybysz usuwa pustkę w życiu Janki, staje się łącznikiem pomiędzy nią i babką, jest celem, ku któremu skierowała wszystkie władze swej duszy. Teraz jej w domu dobrze, tak dobrze, że nawet gdy przyjechał Głogowski, jej szczery przyjaciel, dramatopisarz, bezładna artystyczna natura, nie poczuła już dawnych marzeń i wzlotów ducha. Zobaczył ją spo-

kojną, zimną, wystygłą, pogodzoną zupełnie z losem, nazwał to „zwykłą szopą romantyczną“ i uciekł od tej „glоryi rodzinnego zapasionego szczęścia“.

Autor wogóle jest niepospolitym obserwatorem, jego typy są to ludzie subtelnie wystudyowani, charakterystyka rysów nie pozostawia nic do życzenia, wszystkie osoby zarówno tchną prawdą i życiem. Nietylko główne postacie odznaczają się plastyką, ale i drugorzędne są skończonymi psychologicznie typami. Czy autor przedstawia nam szczery świat włościański, czy sferę dorobkiewiczów, lub życie kolejarzy wszelkiej rangi na odludnej stacyi, zawsze przemawia do nas szeregiem realistycznie pochwyconych obrazów.

Reymont to obserwator, pisarz psycholog, a chociaż hołduje realizmowi, to przecież nie lubuje się w scenach zmysłowych, przeciwnie, jasno przemawiając do wyobraźni czytelnika sytuacyami, usuwa z szeregu słów drastyczne opisy.

Przytoczone ustępy z powieści świadczą już o sile z jaką autor rzuca przed nami na kanwę życia powszedniego wyrazy chwili. Zarówno dobrze maluje wewnętrzne dzieje ducha ludzkiego jak opisy natury, a że nie kładzie akcentu na scenach miłosnych, to właśnie stanowi oryginalność jego powieści na wskroś psychologicznych.

Gdyby Janka nie była histeryczką, możnaby się zapytać czy ona kocha sztukę, czy tylko dla oklasków, dla pokazania do czego jest zdolna, rwała się powtórnie na scenę. Gdyby szczerze kochała, w takim razie pragnęłaby się kształcić w tym kierunku — a przecież, ani środków ani inteligencyi jej nie brakowało.

Drugą niewytłomaczoną już rzeczą jakim sposobem „jaśnie Pietr dziedzic“ z Krosnowy w Kieleckiem, w przeciągu lat trzydziestu zdołał przyjść do takiego majątku, że nie tylko rezyduje na wielkim obszarze z pałacem, ale jeszcze córce zamężnej puścił w dzierżawę 50 włók ziemi. Czyby go takie odznaczenie spotkało za jaki czyn nieszlachetny? Trudno przypuścić, bo ludzie się do nich garnęli i okolica nic o tem nie mówiła.

Język u Reymonta czysty i tylko w jednem miejscu zamiast „z ócz“ należałoby użyć poprawniej z o c z u.

Mieczysław Offmański.

Włodzimierz Trąmpczyński. *Bielmo.* Powieść współczesna. Warszawa 1897.

Powieść ta, pojawiająca się pod nowem w naszej belletrystyce nazwiskiem, nie należy do zjawisk odosobnionych. Zaliczyć ją trzeba po części przynajmniej do tego rodzaju, co wiele nowych powieści Kosiakiewicza, Reymonta, Berenta. Tym punktem wspólnym jest treść, zaczerpnięta z życia przemysłowców łódzkich. Ze względu na bardzo małą oryginalność autora, będącą niemal główną jego cechą, jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że utwór jego powstał pod temi właśnie wpływami. W rezultacie jednak jest on raczej podobny do powieści z epoki hasła pracy organicznej. Wtedy to poraz pierwszy przedstawiono walkę dwu obozów, staroszlacheckiego z nowym przemysłowym, przyczem w myśl ówczesnych pojęć, ten ostatni miał być celem naszych dążeń. Do tych utworów zbliża się „Bielmo“ pod wielu względami, różni się zaś tylko tendencyą. Jest nią hasło trzymania się ziemi, przy którem stoi grupa sympatycznie przez autora przedstawionych postaci. Jako przeciwny biegun i odstraszający przykład ma służyć syn szlachecki, Kazimierz Sznurski. Zamiast pracować na reszcie pozostałej ziemi, udaje się on do Łodzi, wstępuje do fabryki milionowego Ringla, przez ożenienie się z jego córką dochodzi do kresu swych marzeń, ale wynaradawia się. Tę właśnie chęć zbogacenia się autor nazywa bielmem. Tendencyi nic zarzucić nie można, ale wpływu wywrzeć nie może; powodem jest wynik powieści, do którego autor doszedł jedynie przez zmianę ku końcowi charakterów niektórych osób działających.

Odrębny od owych dawnych powieści tendencyą, zbliża się autor do nich bardzo sposobem opowiadania, prowadzenia akcyi, przedstawiania charakterów.

Przypatrzmy się pokrótce osobom działającym. Ogólną cechą strony szlacheckiej ma być praca usilna dla jakiegoś zacnego, choćby drobnego celu, bez widoków osobistych. Takim jest przedewszystkiem przyjaciel bohatera, zupełne jego przeciwieństwo, człowiek, wytężający wszystkie siły dla utrzymania się przy kawałku ziemi i zapewnienia bytu rodzinie, o czem wszystkiem zresztą słyszymy tylko z ust autora.

Kazimierz jest jedyną ciemną plamą w tej sferze. Postać to niejasno przedstawiona. Z początku dąży on tylko do działania na innem polu bez bliższego określenia, potem przechodzi powoli w czystego karyerowicza pieniężnego. Na końcu zaś, zupełnie bez związku z całością, dowiadujemy się o jakimś jego nieuczciwym postępku. Cel autora tu widoczny, ale traci na tem jeszcze bardziej i tak pobieżnie i powierzchownie przedstawiona postać bohatera.

W wyższym jeszcze stopniu brak konsekwencyi w przeprowadzeniu dwu głównych postaci strony przeciwnej. Stary Ringel, początkowo przedstawiony jako człowiek zupełnie prosty i bez wykształcenia, okazuje się potem zgoła innym, co widać przedewszystkiem z jego sposobu mówienia. Córka jego Eliza podbija Kazimierza rozsądkiem, prostotą i dobrocią, okazuje nawet gotowość wyrzeczenia się dla niego narodowości i to zupełnie szczerze. W tej chwili tracimy ją z oczu, aby przy końcu ze zdziwieniem dowiedzieć się, że po ślubie wszystko wzięła w swe ręce, a dzieci nawet nie uczy po polsku. Rys ten dodał autor zapewne w celu okazania zawodu moralnego bohatera, którego on zre-

sztą zupełnie nie odczuwa — ale czytelnika zastaje on zupełnie nieprzygotowanym.

Ogółem biorąc postacie malowane są blado i powierzchownie; z ich stroną wewnętrzną nie zapoznaje nas autor zupełnie. Jedno tylko trzeba zaznaczyć, mianowicie, że Niemcy, a właściwie jak się oni sami zwą „Łodzianie“, są przedstawieni dość sympatycznie, bez tak często spotykanego przeładowania barwami czarnemi.

Podobnie jak pozbawione rysów oryginalnych postacie, okazuje zupełnie starą metodę sposób prowadzenia akcyi. Autor uposaża Kazimierza wszystkiemi przymiotami zewnętrznemi, mającemi mu pomódz do zdobycia sympatyi Elizy. Każe mu nawet spełnić pewien rodzaj bohaterstwa: oto w chwili obejmowania nowonabytej wsi przez Ringla, chwyta on na gorącym uczynku podpalacza. Ta staroświecka scena służy do zbliżenia się młodych, okazując jego dzielność, jej zaś pozwalając wystąpić w nowej roli: osoby bardzo dobrej i litościwej.

Nieświetnie przedstawia się też technika pisarska. Autor nie korzystał zupełnie z dzieł nowszych, które przecież pod tym względem są wyrazem prawdziwego postępu. Środki, służące do połączenia, do pchnięcia akcyi na nowe tory, są zanadto widoczne i do tego bardzo już zużyte. Charaktery osób nie okazują się z działania; podaje nam je sam autor przy wprowadzaniu nowych postaci. Zajęty jednak głównie zewnętrznym biegiem zdarzeń, nie umie tego uczynić w sposób odpowiedni i wystarczający. Tak np. jedynym rysem, mającym dowodzić egoizmu Kazimierza, jest ustawiczne jego „ironiczne“ uśmiechanie się, ilekroć mowa o czemś innem, niż byt materyalny.

Opisów brak w powieści prawie zupełnie, stąd pod względem plastyki utwór przedstawia się blado i nie pozostawia wrażenia w umyśle czytelnika. Obrazki rodzajowe, jak cukiernia w miasteczku, bal w fabryce — opisane pobieżnie, nieraz w sposób przypominający bardzo dawne powieści. Lepiej nieco wychodzi rozmowa chłopów, choć i jej brak życia i oryginalności.

Ten sam zarzut trzeba zrobić stylowi; nie można powiedzieć, by był suchy i bezbarwny, nie wyrobiony, ale z drugiej strony obfituje w mnóstwo wyrazów i zwrotów zwykłych i zużytych, co nadaje mu cechę pewnej pospolitości.

Reasumując to wszystko, trzeba przyznać, że mimo braku nowych sytuacyj, świeżych i oryginalnych postaci, mimo starodawnego sposobu pisania, nie można powieści nazwać wprost słabą. Należy ona do tego rodzaju, którego brak cech wyróżniających pod jakimkolwiek względem, nie pozwala zaliczyć do utworów wybitnych, a który zwykle nazywamy przyzwoitym.

Autor mógłby napisać powieść nie bez wartości, gdyby czerpał więcej z rzeczywistości, pogłębił stronę psychologiczną, udoskonalił technikę pisarską i starał się o większą oryginalność stylu. Nie można mu bowiem odmówić wprawy pewnej, która sprawia, że „Bielmo“ jest powieścią napisaną potoczyście i jednolicie.

Język wcale czysty, czasem tylko nieco zaniedbany. Wytknąć należy używanie zaimka „jaki“, zamiast „który“, słów złożonych z „bez“, jak: bezpotrzebny, bezprzytomny, zamiast niepotrzebny, wyrazów, jak: „wygląd“, wreszcie znacznej ilości słów cudzoziemskich.

Kazimierz Nitsch.

Adolf Dygasiński. *»As«*, powieść. Warszawa, księg. Centnerszwera 1896 (str. 212).

„As“ jestto pies, wyżeł, ale chybiający swego przeznaczenia; losy zaś jego wikłają się najdziwaczniej z losami rozmaitych osób, to zbliżając je, to waśniąc między sobą. Otóż, dopóki mowa o psich przygodach, „uczuciach“, popędach i postępkach, oceniamy je z całem zainteresowaniem, jakie budzić musi prawda i żywość w przedstawieniu któregokolwiekbądź objawu życiowego; autor zaś znanym jest oddawna z wybornej, podziwu godnej intuicyi w odtwarzaniu „charakterów“ zwierząt. Nie tyle nas zachwyca psychologia ludzka w całej galeryi postaci grupujących się w około czworonożnego bohatera powieści. Są to zwykle pesymistyczne ale z humorystycznej strony chwytane, mniej lub więcej wybrednym komizmem zabarwione typy. — Tu i owdzie spotykamy głębszą uwagę, przesuwa się smutny obrazek, lub jaka myśl rzewna błyśnie, niby łza poza uśmiechem wesołym. Sam pies-bohater niejako urasta, rozwija się w oczach naszych, wyraźnej nabiera indywidualności, że przywiązujemy się doń poprostu, litujemy się nad nim, odczuwamy razy na grzbiet jego spadające, ubolewamy nad „moralnym“ upadkiem tego popychadła losu i ludzi, co pieszczone i prześladowane po kolei, sprytne z natury, pokorne z potrzeby, garnie się do ludzi, a ci go wreszcie odtrącają z właściwym sobie egoizmem i... biedny As, karany za przestępstwa i wady, jakich nabył w swem otoczeniu, staje się włóczęgą bezdomnym, a w końcu ginie śród palących się stert zboża.

Jest dziwna jakaś, rzewna, Dickensowska ironija w losach tego psa, który z kolei był ulubieńcem, psotnikiem, złodziejem, zbiegiem, a zawsze potroszę pieczeniarzem i próżniakiem, wyzyskującym otoczenie, które go wyzyskuje także, by potem rzucić, jak bezużyteczne narzędzie.

Pobieżne streszczenie nie mogłoby dać dokładnego pojęcia o tej powiastce, która się czyta z zajęciem.

Korczak

Stańko. *Występni.* Powieść w dwóch częściach. Warszawa 1897.

Tytuł powinien właściwie brzmieć: powieść kryminalna w 2ch częściach z prologiem. Treść prologu

daje już wyobrażenie o całej powieści. Adam Karski obywatel ziemski, mieszkający od lat kilkunastu w Ustroniu, majątku żony, został zamordowany. Żona zamordowanego Regina Karska zeznaje sędziemu śledczemu że sama zamordowała męża. Jakim sposobem ogólnie ceniona i z gruntu zacna kobieta mogła tak straszny czyn popełnić, wyjaśnia nam autor w 2. częściach powieści. Cofamy się więc o kilkanaście lat wstecz kiedy pani Regina Karska mieszka jeszcze jako panna Łańska u matki, kobiety lekkomyślnej, rozrzutnej, a nawet niegodziwej, bo ucieka z resztkami majątku, zostawiając jedyną córkę na pastwę losu i ludzi. Biedne dziewczę potrzebuje właśnie w tej chwili najwięcej opieki macierzyńskiej, bo brutalny zwierzęco-zmysłowy kuzyn Adam Karski prześladuje ją swoją miłością. Na szczęście stara ciotka Reginy, pani Rzeszowska, bierze osierocone dziewczę w opiekę. W jej salonach w Warszawie znajduje Regina nietylko spokój i równowagę duchową, lecz nawet i miłość serdeczną. Ludwik Daring, artysta muzyk o światowej sławie, budzi uśpione dotąd serduszko Reginy i nawzajem żywą odpłaca się wzajemnością. Po dłuższej przerwie, spowodowanej zagadkowem zniknięciem Daringa, przychodzi do porozumienia, a gdy Regina znalazła się wskutek nagłej śmierci ciotki po raz drugi bez opieki, związek małżeński połączył kochającą się parę. Szybko i pogodnie płyną dni zakochanym w okolicy Drezna, gdy nagle jak piorun z jasnego nieba spada na Reginę wieść, że jej ukochany Daring wpierw już poślubił inną kobietę, że właściwie nie jest więc żoną Daringa, a córeczka jej Janina jest nieprawem dzieckiem. Nieszczęśliwa kobieta chce zrazu sobie życie odebrać, by ujść grożącej jej hańbie, ale wzgląd na maleńką córeczkę wstrzymuje ją od tego rozpaczliwego kroku; opuszcza więc potajemnie męża i przenosi się do Warszawy, by o własnych siłach walczyć z losem. W Warszawie dowiaduje się Regina o samobójstwie rzekomego męża, a list jego przed śmiercią pisany objaśnia ją o burzliwej lekkomyślności, a wreszcie zbrodniczej przeszłości Daringa. Po trzeci raz osamotniona kobieta stara się uczciwą pracą utrzymać siebie i maleńką Janinę, lecz spotyka ją tylko zawód, a nawet straszniejsze od głodu niebezpieczeństwo hańby. W krytycznej chwili ratuje ją z rąk rozpasanej zgrai — Adam Karski, który pomimo dłuższej przerwy, jeszcze odczuwa zmysłowy pociąg ku Reginie. Odtąd zajmuje się on tytułem kuzyna losami biednej wdowy i doprowadza wreszcie po długich, zręcznych staraniach, że przyjmuje jego rękę. Teraz dopiero występuje cała nikczemność Karskiego na jaw. Z żoną obchodzi się brutalnie, trwoni majątek swój i Janiny, by zaspokoić swe ohydne namiętności i dochodzi wreszcie do zwierzęcej zmysłowości, do potwornego zamachu na małoletnią pasierbicę swoją Janinę. Przypadkowo dowiaduje się o tem Regina, zabija więc męża w obronie córki. Do zbrodniczego czynu przyznaje się, jak to już prolog nam doniósł, wobec sędziego śledczego Jerzego Tarnowskiego. Jerzy oddawna w Janince zakochany, podaje się do dymisyi i prosi o rękę Janiny umierającą na atak sercowy kobietę. Regina umiera spokojna o przyszłość córki.

Mord, dwużeństwo, samobójstwo, usiłowane kazirodztwo — oto powabny szereg motywów, na których autor snuje swoje opowiadanie. Jeżeli jeszcze dodamy, że powieści brak prawdopodobieństwa i psychologii tak w charakterach jak i w sytuacyach, że technika i język są często niedołężne, że realizm pozorny niektórych ustępów dochodzi do cynizmu, to zrozumiałem będzie jeżeli czytelnik z niesmakiem odrzuci „Występnych“, żałując czasu strwonionego na przeczytanie płodu chorobliwej wyobraźni.

Karol Opuszyński.

Kurpiel A. M. Dr. *Polityczne i społeczne przekonania Ign. Krasickiego.* (Sprawozd. dyrekcyi gimn. w Jarosławiu za r. 1896).

Jakkolwiek Krasicki żył w czasach Monteskiusza i Woltera, „nie chce się bawić teoryami politycznemi;“ obojętne mu są formy rządu, ale ze wzmianek tu i owdzie rozsianych można wnioskować, że był nieprzyjacielem despotyzmu“, narzeka na nierząd, rozpustę, zaleca jedność i zgodę, przestrzega i napomina, ale nie stawia projektów. „Czynność jego jest raczej negacyjna niż pozytywna“. „Stojąc z daleka, obserwuje maszynę życia publicznego, wskazując palcem, które kółko wyjąć należy, gdzie oliwy dolać trzeba, gdzie zardzewiałą sprężynę oczyścić, ale sam swoją ręką nie chwyta za korbę, wprowadzającą w ruch maszyneryę, nie zakasuje rękawów, aby się zabrać do czyszczenia“. Jest on — jednem słowem — „moralistą, krytykiem, ale nie rzeczywistym statystą, politykiem“. Co do przekonań politycznych jest synem swego wieku: szlachcic poleca przedewszystkiem pracę na roli, włościan „utrzymuje w poddaństwie, pragnie tylko, aby ich uznano ludźmi, miernie ich każe oświecać, starać się o ich zdrowie fizyczne, usunąć ich z pod wpływu żydów, nie pozwalając onym karczem arendować, czuwać nad tem, aby ekonomowie i dzierżawcy ludzko się z nimi obchodzili, kształcić ich w rzemiosłach, uczyć porządnego gospodarstwa“. Nad stanem miast i mieszczaństwa ubolewa, ale jest przeciwny posiadaniu przez nich roli; „zdaje się, że zgodziłby się na wszystko, co uchwalono dla mieszczan 21 kwietnia 1791 na wniosek Suchorzewskiego, tylko może nie na udzielenie im ziemi“. Na żydów patrzy trzeźwo, przeciwny jest szynkowaniu żydów po karczmach, a chce, aby byli „tem, czem inni są, niech ziemię uprawiają, niech kraju bronią, niech się kunsztami bawią, a wówczas równie z innymi i handlem się wzmagają“.

Praca metodycznie na dziełach Krasickiego osnuta, nie przynosi z natury rzeczy wprawdzie nic nowego,

ale jako studyum oparte na tle literatury porównawczej, wyzyskujące w drobiazgach nawet rozprószone po dziełach myśli i uwagi i w jeden je łączące obraz, jest pięknym przyczynkiem do charakterystyki tego „księcia poetów“ stanisławowskich. Czy przez mniej pedantyczną korektę, czy może przez pośpiech wkradły się pewne błędy, jak oligarchyi str. 4, nie potrzebne że w 3 w. str. 1. i niewłaściwości, jak „Modrzewski w „Republica emendanda“ — zam. M. *w dziele* „de rep. em.“ (str. 2,) „Warszewicki w „de optimo statu libertatis“ (str. 27), zam. Warsz. w dziele „De opt. st. lib.“

Roman Zawiliński.

Przegląd Przeglądów.

I. Dla Mickiewicza.

W roku przyszłym przypada setna rocznica urodzin Mickiewicza. Stąd od kilku tygodni wszystkie pisma warszawskie przepełnione są projektami godnego jej uczczenia. Nie sposób poprostu notować rozmaitych uwag, myśli i projektów, bo cały numer naszego *Przeglądu* nie mógłby na to wystarczyć. Czynimy dziś wyjątek dla głosu A. Świętochowskiego, tłomaczy on bowiem dokłanie źródło uwielbienia naszego dla poety. Opuszczamy tylko z niego ustępy, w których Ś. słusznie przemawia za tem, abyśmy sami, bez współudziału obcych narodowości, hołd Mickiewiczowi złożyli. To zaznaczywszy, odstępujemy głos Świętochowskiemu:

„Ktokolwiek umie odczuwać artyzm i zna literaturę powszechną, ten nie zaprzeczy, że M. był to jeden z największych poetów świata. Wyrazistość i wdzięk jego obrazów, bogactwo barw w przenośniach i porównaniach, nadzwyczajna wytworność rysunku, ogromna masa światła, które wylewa się potokami z dusz jego bohaterów, siła uczuć tętniących w ich sercach — wszystko to znamionuje geniusz wysokiego stopnia. Ale wszystko to nie tłómaczy tej specyalnej czci, jakiej u nas używa Mickiewicz. Króluje on w piśmiennictwie na prawach wyjątkowych: nie podlega krytyce, dzieła jego są tylko przedmiotem troskliwych komentarzy, nie obowiązują go żadne trybunały, wszyscy przed nim schylają głowy, słowem, siedzi na tronie z berłem w ręku, lub na ołtarzu z aureolą około głowy. Jeżeli zaś ktoś pozwoli sobie czasem wygłosić publicznie o nim zdanie ostrzejsze, uważany jest za bluźniercę, któremu ogół odpowiada wzgardą lub potępieniem. Literatury innych narodów mają również takich monarchów i takich świętych między swymi wieszczami. Ale ich uwielbienie jest jakieś chłodniejsze. Włosi uważają Danta za najwyższy szczyt w twórczości poetyckiej, wygrzebują jednak grzechy z jego życia prywatnego i w imieniu Beatryczy pozywają go przed sąd potomności o wiarołomstwo. Podobnie Anglicy czynią z Shakespearem, któremu nie wahają się dowodzić rozpusty i matactw pieniężnych. Byron jest dla nich genialnym łobuzem, podejrzywanym nawet o romans z siostrą; Shelley genialnym nicponiem, podkopującym podstawy społeczeństwa i gwałcącym moralność dla dogodzenia chwilowej zachciance. Francuzi widzą w Mussecie rozkapryszonego dzieciaka, a w W. Hugo szczudłowego deklamatora. Goethe jest w przekonaniu Niemców Jowiszem, który, równie jak jego pierwowzór, przerwy między tworzeniem nieśmiertelnych dzieł wypełniał bardzo śmiertelnemi miłostkami, a tak był zapatrzony w siebie, że nie chciało mu się wyjrzeć przez okno dla zobaczenia łun i gromów rewolucyi. Co innego Mickiewicz. Tego nietylko wszyscy podziwiają, ale szczerze kochają, na białym jego płaszczu nikt nie dostrzega plam, tylko co najwyżej pył ziemi, od którego żaden jej syn nie jest wolny. Jego Maryla została prawie przez historyków literatury ukanonizowana, a rozmaite Ewunie osadziły się jako klejnoty w jego koronie. Nie są one, jak kochanki Musseta, Byrona i Goethego, pamiątkami ludzkiej słabości geniuszu, ale muzami, które budziły jego natchnienie.

„Jest że w tej bezwzględnej czci przesada, obłuda, brak krytycyzmu — lub fanatyzm patryotyczny? Nie! Prawda, że natura życia ograniczyła naszą szczerość i odwraca nasze oczy od cieniów ku światłom, że dla zdrowia dusz potrzebujemy więcej złudzeń, więcej ukochania gniazda własnego, niż inne narody, ale przyznać należy, że Mickiewicz był pięknym charakterem, był czystem i gorącem sercem. W tym fakcie tkwi tajemnica szczególnej miłości, jaką społeczeństwo ciągle go otacza. W pospolitej gwarze literackiej przechowuje się maksyma, że geniuszowi, zwłaszcza artyście, przebaczać winniśmy pewne zboczenia etyczne, zabronione zwykłemu śmiertelnikowi. Do pewnego stopnia jest ten przywilej słusznym, gdyż geniusz, stwarzając świat nowy, nie może być krępowany więzami starego, gdyż olbrzyma niepodobna wtłaczać w warunki karłów, a szerszy zakres swobody jest zwykle konieczny dla objawienia się jego siły. Poeta, któryby skazał się na żywot filistra i spełniał wszystkie cnoty moralności zdawkowej, zmarnowałby niewątpliwie swój talent. Ani orzeł nie może być ptakiem podwórzowym, ani lew — łapać myszy, ani gazela — paść się w stadzie owiec, ani bawół — chodzić w pługu. Ale nie należy w owej dyspensie iść za daleko. Są występki, które nie znajdują rozgrzeszenia na najwyższych szczytach dostojeństwa ludzkiego: morderca, złodziej, oszust, tyran pozostanie zbrodniarzem, chociażby stanowił wierzchołek piramidy człowieczej. Nie dość tego. Arcykapłan narodu lub ludzkości, prorok, mistrz, jakim z urzędu swego jest każdy poeta, jeżeli chce porwać za sobą tłumy, wywrzeć na nie głęboki wpływ, nadać słowom swoim moc przykładu, musi te zasady, które go obo-

wiązują i którym sam wierną służbę zaprzysiągł, podnieść czynem do godności dogmatów. Najświętszem, choć najczęściej gwałconem prawem, najpierwszym choć najrzadziej spełnianym obowiązkiem człowieka, jest szczerość. Kto może i umie być szczerym, ten będzie szczęśliwym, rozumnym i uczciwym. Obłuda jest matką niedoli, głupoty i podłości. A im większa czyjaś dusza, tem silniej oddziaływa jej szczerość lub kłamstwo.

„Mickiewicz był człowiekiem zacnym i szczerym. Nie nosił on sumienia na języku, lecz w sercu. Ziomkowie jego nie potrzebują jedną ręką odsłaniać piękności jego dzieł, a drugą zakrywać brzydoty jego życia. To, co im czynić zalecał, sam czynił, co im kochać kazał, sam kochał. Nie stawia on historyków literatury w przykrem położeniu wypisywania mu dwu odmiennych rachunków: z geniuszu, względem którego społeczeństwo byłoby jego dłużnikiem i z charakteru, względem którego ono byłoby jego niezapłaconym wierzycielem. On ma rachunek jeden z pism i czynów. U większości poetów miłość jest upajającym płynem, który oni podają swym czytelnikom w cudownie rzeźbionych kielichach dla wzniesienia z nimi toastów. U Mickiewicza była ona krwią jego arteryi, ożywiającą cały organizm. Kobietę, przyjaciela, naród, ludzkość kochał on nie we frazesie dźwięcznie wyrażonym i zgrabnie zrymowanym, ale w gorącem sercu. On nietylko miłością żył, ale przez miłość wpadł w obłęd. Towianizm był zboczeniem umysłowem, ale dzieje literatury nie znają równie wspaniałego zboczenia, jakiem ono było w Mickiewiczu. Oszaleć nie z bólu osobistego, lecz ogólnego, zwołać wszystkie dobre duchy z nieba na ziemię, aby położyły balsam na rany ludzkości, uczuć się wybranym przez Boga jej lekarzem — na to trzeba być oderwanym od ziemi fantastycznym marzycielem, ale marzycielem szlachetnym. Mickiewicz nie może dla innych być wzorem jako poeta, bo geniusza nikt w sobie nie wytworzy, ale powinien być wzorem, jako człowiek. Był on tego w sobie zupełnie świadom. Mylą się bardzo ci, którzy sądzą, że gdy na arenie publicznej występować będą zawsze w szatach świątecznych, mogą w życiu prywatnem brukać się dowoli, bez żadnego uszczerbku dla swej sławy, że można stać się wieszczem narodu, pisząc piękne wiersze, a jednocześnie pielęgnując sobkostwo, uprawiając rozpustę i zadając każdym czynem kłam swym słowom. Zapewne perły ich natchnienia potomność w swym skarbcu zachowa, ale błoto, w którem powstały, ze wstrętem odgarnie. Wielkie charaktery były cenione zawsze; zdaje nam się wszakże, że już nadszedł lub wkrótce nadejdzie czas, w którym one nabiorą szczególnej wartości i w którym będą bezwarunkowo wymagane od wszystkich wielkich umysłów.

„Oto dlaczego imię Mickiewicza otoczone jest u nas taką czcią wyjątkową".

II. Setna rocznica urodzin Korzeniowskiego.

(Uczczenie tej rocznicy przez prasę. — E. Siwiński o Korzeniowskim. — „Korzeniowski o sobie" M. Gawalewicza. — Klaczko ofiarą tej setnej rocznicy. — Pretensye do J. Bartoszewicza. — Literatura polityku jąca. — Korzeniowski i Kraszewski).

Setna rocznica urodzin Józefa Korzeniowskiego (19 marca 1797) obchodzoną była uroczyście przez naszą prasę, teatr i wielbicieli wybitnego powieściopisarza i dramaturga. Tak w Warszawie jak w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu, Łodzi, Piotrkowie, Płocku itd., odprawione zostały w tym dniu nabożeństwa żałobne, a wieczorem miejscowe teatry przypomniały publiczności wybitniejsze utwory dramatyczne Korzeniowskiego. W Brodach utworzył się komitet dla postawienia w tem mieście pomnika dla autora „Karpackich górali". (Korzeniowski urodził się na folwarku pod Brodami).

Prawie cała prasa polska wzięła udział w oddaniu hołdu Korzeniowskiemu. W rubryce „Bibliografia czasopism" znajdą nasi czytelnicy w przyszłym numerze *Przeglądu literackiego* spis ważniejszych artykułów, jakie się ukazały w tę setną rocznicę. Tutaj zanotujemy, że Kuryer warszawski wydał numer (78) poświęcony w połowie pamięci Korzeniowskiego i Kraszewskiego, ze setną bowiem rocznicą urodzin pierwszego, zeszła się dziesiąta rocznica śmierci drugiego. We wspomnianym numerze Kuryera znajdujemy między innemi sylwetę Korzeniowskiego pióra Kazimierza Zalewskiego, kilka ustępów z niewydanych jego listów, oraz bibliografią jego dzieł, uzupełniającą wykaz Estreichera. Portrety Korzeniowskiego pomieściły: Tygodnik illustrowany, Wędrowiec, Biesiada literacka, Bluszcz i Echo muzyczne. Z pomiędzy artykułów w innych pismach wydrukowanych, zwracają na siebie uwagę „Wspomnienie o Józefie Korzeniowskim" pióra Edwarda Siwińskiego (Gazeta warszawska nr. 75) i „Korzeniowski o sobie" przez Maryana Gawalewicza (Biblioteka warszawska, marzec). Pierwszy z nich jest interesujący przez to, że porusza sprawę, dziś już prawie zapomnianą, a mianowicie głośną niegdyś krytykę „Krewnych" napisaną przez J. Klaczkę, drugi zaś przez to, że przynosi nowe szczegóły do charakterystyki i do prac dramatycznych Korzeniowskiego.

Pan E. Siwiński cofa się do tych czasów, kiedy Korzeniowski został powołany przez Wielopolskiego na dyrektora Wydziału oświecenia. Liczył on wówczas 64 lat, a pomimo, że go trawiła zabójcza piersiowa choroba, pracował z zapałem nad reorganizacyą szkół Królestwa Polskiego. Schorzały ten człowiek już o godzinie 6-tej z rana składał raporta margrabiemu.

„Korzeniowski — pisze p. E. S. — był bardzo łaskawym dla mnie, a łaskawość jego o wiele przewyższała małe moje zasługi. Powoływany bardzo często do niego, nieraz byłem świadkiem, kiedy porwany atakiem kaszlu, zdawał się już ostatnie wydawać tchnie-

nie. Przynoszono mu wówczas miseczkę z gorącą wodą, a oddychanie przez kilka minut wydobywającą się parą uspakajało zwolna zabójczy kaszel. Patrzyłem ze ściśniętem sercem i z niewypowiedzianą troską na to wychudłe i pożółkłe oblicze, synowską zdjęty czcią dla tego męża, który wiedząc dobrze, że tak wysiloną pracą zabija się, nie szczędził resztek uciekającego żywota, aby tak ważnego dla narodu dokonać dzieła.

„A zaprawdę, położenie tego dogorywającego męża było tem tragiczniejsze, że miał poczucie, iż pracował dla niewdzięcznych; że nosił w duszy palący cierń zapoznania i zniewagi, że serce jego przepełnione było goryczą i że z pewnością wstrętnego jej smaku do ostatniej życia nie utracił chwili.

„Tak jest — ten głośnego imienia autor, który po Fredrze sam utworami swemi dźwigał narodową scenę; ten głośny i wykwintny powieściopisarz, który tak umiał zapalać i zaciekawiać czytelników, nosił w piersiach zatrutą strzałę, którą mu rzucił zdala, na książęcem siodle siedzący recenzent. Skreślił on zjadliwą ocenę powieści Korzeniowskiego „Krewni", a oddając pochwały artystycznym przymiotom utworu, samegoż autora kategorycznie i bezwzględnie od poczciwego imienia i od czci odsądził.

„Nieraz w poufnej ze mną rozmowie wypowiadał Korzeniowski pogląd swój na ową fatalną krytykę, wyjaśniał zamiary swoje i intencye. Powtórzyć ich tu nie mogę, powiem tylko, że autor i krytyk stali na tak odmiennnych i dalekich od siebie stanowiskach, że nigdyby się z sobą porozumieć nie mogli. Korzeniowski przy niepospolitym artystycznym talencie, wzbogaconym jeszcze sumiennemi studyami, zwłaszcza zaś nad Szekspirem, i posiadający przytem dosyć rozległą naukową wiedzę, był przedewszystkiem człowiekiem rozumu. Energię swojej artystycznej fantazyi zużytkował w literackich utworach, na życiowe zaś stosunki poglądał trzeźwo i chłodno i do tej dziedziny nigdy marzycielskich majaczeń i chorobliwych złudzeń nie dopuszczał. Całą duchową treść jego istoty pozwalam sobie zamknąć w tych dwóch zasadniczych rysach: był to artysta o gorącem sercu i był to zarazem dyplomata o chłodnym rozumie. W naturze jego nie było nic mistycznego, a każdy pomysł, który się w dziedzinie życia nasuwał, oceniał surowo, badając naprzód, czy jest możliwym do urzeczywistnienia i powtóre, czy ogółowi wyjdzie na pożytek.

„Był on więc najzupełniejszą antytezą swego paryskiego recenzenta"...

Tu następuje surowa charakterystyka Klaczki, lubo p. E. S. nawet jego nazwiska nie wymienia. Nie mamy zamiaru stawać w obronie znakomitego krytyka i publicysty, — żyje, a więc sam się może obronić — uważamy jednak za słuszne zaprotestować przeciw mieszaniu polityki do spraw literackich. Pan S. dowodzi, że Korzeniowski i Klaczko stali na dwóch przeciwnych sobie stanowiskach politycznych i że krytyka „Krewnych", uderzająca na ich autora za brak szerszych uczuć obywatelskich, miała swoje źródło właśnie w tej różnicy przekonań. Dla pana S. duch Korzeniowskiego był „spiżowym posągiem", a z określenia tego łatwo się czytelnik domyśli, jak w przeciwstawieniu wygląda nie spiżowy duch Klaczki. Autor „Wspomnienia" z niezwykłą namiętnością ocenia Klaczkę jako człowieka i pisarza pewnego stronnictwa; na poziomie politycznej działalności, stawia go obok... Mierosławskiego. Gdyby p. S. miał nawet zupełną słuszność (a namiętne sądy rzadko słuszne bywają) — to i tak zarzut uczyniony Klaczce musielibyśmy skierować do niego samego, bo jeżeli Klaczko, jako recenzent „Krewnych" był politykiem, to politykiem jest i autor „Wspomnienia" o Korzeniowskim. Nastała dziś chwila, w której pewne koła publicystyczne i literackie sądzą, że odnalazły kamień filozoficzny naszej polityki — i z tego punktu oceniają ludzi tak dzisiejszych jak i dawniejszych. Kto był dawniej chłodny i w sprawach politycznych trzymał się na uboczu, ten otrzymuje patent na człowieka rozumu, wytrawnego polityka i wielkiego obywatela — kto miał uczucia gorętsze, dostaje surową naganę, jeżeli tylko naganę. Taki sąd nigdy nie może być sprawiedliwy, bo polega na chwilowych prądach, które lada chwila zmienić się mogą. Niedawno zrobiono (i to najniesłuszniej) polityka z Pawińskiego, obecnie Korzeniowski otrzymuje pośmiertną nominacyę na męża stanu. Jeżeli tak dalej pójdzie, to dojdziemy do tego, że stopnie w hierarchii literackiej będziemy wydawali nie podług nauki i talentu twórczego, lecz stosownie do zapatrywań politycznych. I utworzą się dwie kategorye autorów: wielkich i małych; do pierwszej należeć będą wszyscy chłodni, do drugiej gorętsi.

Nie mamy broń Boże zamiaru ubliżyć w czembądź pamięci Korzeniowskiego; zasłużonego jego stanowiska w literaturze nie podniosą ani nie obniżą żadne prądy polityczne. Ale poco z nazwiska jego robić jakiś sztandar polityczny, kiedy on sam bardzo stanowczo zaprzeczał, jakoby się chciał kiedykolwiekbądź mieszać do spraw politycznych. A zaprzeczenie to tem ważniejsze, iż wyszło z pod jego pióra właśnie z powodu krytyki Klaczki. W liście do Estreichera podanym w „Bibliotece warszawskiej" przez p. M. Gawalewicza, czytamy wyraźnie: „Mam się za człowieka uczciwego, za kochającego nadewszystko swój język, swoich ziomków. A chociaż nie oszczędzałem ich śmieszności i mówię im śmiało prawdę, nigdy jednak nie zaszczepiałem im zgnilizny obyczajów, *ani pod względem politycznym*, **gdyż w to nie wdaję się wcale**, *nie sprowadziłem ich na krzywe i fałszywe drogi*«. A więc Korzeniowski nie wdawał się wcale w politykę — wdawał się w nią Klaczko, jako jego przeciwnik, wdaje się i p. Siwiński, jako jego zwolennik.

Jeżeli się jednak zarzuca Klaczce, że w danej

chwili po przeczytaniu „Krewnych“, pod wpływem swego otoczenia, czy też panujących prądów, oskarżył Korzeniowskiego o rzekome tendencye nieobywatelskie, to się powinno być samemu bardzo ostrożnym w wydawaniu kategorycznych sądów o sprawach i ludziach z przed lat kilkudziesięciu, a co więcej nie powinno się przekręcać faktów na użytek swoich zapatrywań politycznych. Tą ostrożnością nie kierował się surowy sędzia Klaczki. Ni stąd ni zowąd zapędziwszy się w politykę, uznał za stosowne z okoliczności setnej rocznicy Korzeniowskiego, udzielić nauki rozumu politycznego Mickiewiczowi, Kraszewskiemu, Henrykowi Rzewuskiemu, H. Szmittowi, Koronowiczowi i J. Bartoszewiczowi. Co do tego ostatniego popełnił maleńką... omyłkę. Czy maleńką? zobaczymy.

Oto słowa p. Siwińskiego: „apologistą anarchii był pracowity badacz naszej przeszłości Julian Bartoszewicz, który nie przez ubieganie się za oryginalnością, lecz naiwnie i z zupełnie dobrą wiarą usiłował rehabilitować takich wyjątkowych łotrów, jak Zebrzydowski i Hieronim Radziejowski“. Nad tem, czy był J. Bartoszewicz apologistą anarchii, nie chcemy się nawet zastanawiać — bo moglibyśmy przytoczyć co najmniej setki ustępów z jego pism, w których potępiał nierząd i swawolę. Ale idzie nam o mniemaną rehabilitacyę Zebrzydowskiego i Radziejowskiego. P. Siwiński coś słyszał, ale niedobrze, najzupełniej niedobrze.

Aleksander Weryha Darowski, człowiek nadzwyczaj oryginalny, a przytem jeden z najgłębszych znawców literatury i historyi polskiej (życiorys jego napisał dr. Antoni J.) bawił się od czasu do czasu w autora. Między innemi pomieścił w „Dzienniku warszawskim“ redagowanym naprzód przez H. Rzewuskiego, później przez J. Bartoszewicza „paradoks historyczny“ o stosunku Radziejowskiego do Jana Kazimierza. Z powodu tego artykułu wszczęła się polemika, do której się wmieszali J. Bartoszewicz i J. Łukaszewicz — ten ostatni kryjąc się pod literami X. M. Niepodobna w tem miejscu streszczać całej polemiki, (trzebaby napisać chyba artykuł osobny), dość, że J. Bartoszewicz w drobnym artykuliku, umieszczonym w „Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych“ wyraził się, że Radziejowski chciał zgubić Jana Kazimierza a nie Rzeczpospolitą i że według ówczesnych pojęć działał legalnie, tworząc konfederacye przystające do Szweda. O ile sąd ten mylny, rzecz historyków, ale nie zawadzi chyba przytoczyć, że wszystkie podobne konfederacye opierały się na legalności. Wszak i Targowica zasłaniała się legalnością wprowadzając obce wojska — wszak nawet król, ba! i Kołłątaj „legalnie“ do tej „legalnej“ konfederacyi przystąpili. Czy jednak owa legalność usprawiedliwiała fakta popełnione, to rzecz znowu inna. Nie ma prawie zbrodni politycznej, któraby nie tłomaczyła się legalnością.

Otóż na artykuł Darowskiego i ową wzmiankę o legalności oburzył się Łukaszewicz i wystąpił w „Bibliotece warszawskiej“ z artykułem polemicznym, w którym ani słowa nie wspominał o Darowskim, autorze artykułu o Radziejowskim, lecz sprzeczał się z J. Bartoszewiczem. Nie wiadomo skąd do polemiki tej wprowadził sprawę Zebrzydowskiego, o której ani Bartoszewicz ani Darowski jednego słowa nie wspomnieli. Artykuł Łukaszewicza musiał niegdyś czytać p. Siwiński i nie sprawdziwszy rzeczy, wydał po czterdziestu latach wyrok na J. Bartoszewicza.

Gdyby był czytał jednak „Bibliotekę warszawską“ dokładniej, to w tomie I. 1857 r., str. 821, znalazłby odpowiedź J. Bartoszewicza. Zaprzeczał on stanowczo usiłowaniu rehabilitacyi Radziejowskiego, bo „śmieszna nawet dzisiaj dowodzić, że Radziejowski zawinił względem ojczyzny. Jedną chwilę tylko inaczej przedstawia Darowski... Nie powinno gorszyć ludzi naukowych nowe przedstawienie faktów, bo to rzecz poważnej rozprawy a nie namiętności... Zebrzydowskiego nazwiska nie wspominaliśmy nawet w dopiskach...“

I na takiej podstawie dziś się pisze, że J. Bartoszewicz „usiłował rehabilitować takich wyjątkowych łotrów, jak Zebrzydowski i Hieronim Radziejowski [1]). I z tego wszystkiego wyprowadza się daleko idące wnioski. Klaczce się nie zapomina artykułu napisanego pod pierwszem wrażeniem i potępia się go za niego z całą namiętnością — a jednocześnie po latach 40 „spokojnie i chłodno“, bez żadnej potrzeby, stawia się innym zarzuty, oparte na nieznajomości faktów, na prostych fikcyach, na jakiejś drobnej a niedokładnie zapamiętanej polemice. Ach, ta nieszczęsna politykomania [2]).

Wystąpienie p. Siwińskiego przeciw Klaczce znalazło echo w innych pismach, uprawiających politykę literacką. Stawili Klaczkę „pod pręgierzem“ (taki był tytuł jednego z artykułów) tak postępowcy jak i antysemici, pierwsi za to, że Klaczko jest konserwatystą, drudzy za to, że się urodził żydem. Nic zabawniejszego naprzykład, jak dowodzenie jednego z pism antysemickich, dlaczego Klaczko wystąpił przeciw „Krewnym“. Oto, ponieważ w tej powieści Korzeniowskiego była zachęta dla młodzieży polskiej, aby się brała do przemysłu i handlu, przeto żydzi w strachu o swój monopol, wpłynęli na Klaczkę, aby potępił tendencye

[1]) O Zebrzydowskim pisał tylko raz J. Bartoszewicz w Encyklopedyi powszechnej. Kto ciekawy, niech artykuł ten przejrzy, a spotka się jedynie ze stanowczem potępieniem tej smutnej postaci dziejowej.

[2]) Możemy jeszcze dodać w przypisku, że dzisiejsza historyografia, zwłaszcza po pracy Rembowskiego o rokoszach i konfederacych, idzie najzupełniej zgodnie z zapatrywaniami wyrażonemi przez J. Bartoszewicza, przez co tem zabawniej wyglądają uczynione mu zarzuty. Radziejowski, doskonały znawca instytucyj polskich, działał oparty na konsekwencyi artykułu „de non praestanda obedientia“. Zrzucał dawnego pana, a stawiał nowego elekta, przyjmowanego przez konfederacye województw. Była to anarchia, ale czy ten, co anarchię zaznacza, jest jej apologistą?

„Krewnych“ i odwiódł społeczeństwo polskie od drogi wskazywanej przez Korzeniowskiego. Naturalnie Klaczko, jako żyd, odczuł ważność interesu żydowskiego i pod pokrywką patryotyzmu walczył w ich obronie.

Od tych wysoce śmiesznych wywodów przejdźmy do artykułu p. Gawalewicza o Korzeniowskim. Pan G. korzystał z nieznanych materyałów, a mianowicie: ze zbiorów listów Korzeniowskiego, pisywanych między r. 1845 a 1861 do J. I. Kraszewskiego i K. Estreichera. Listy do Kraszewskiego bardzo ładnie świadczą o Korzeniowskim, jako o człowieku, który nie miał ani cienia zazdrości zawodowej. Uznawał on talent Kraszewskiego, cenił go, chociaż znacznie starszy prosił o uwagi, o krytykę szczerą, zwierzał się ze swoich projektów i poddawał mu pomysły. Dla biografa Korzeniowskiego materyał w tych listach niezmiernie ciekawy. Kraszewski wygląda w nich nieco mniej dobrze, bo widać z wielu napomknień, że niechętnie się dzielił z Korzeniowskim sławą powieściopisarską, że mimo serdecznych z nim na pozór stosunków, nie umiał się powstrzymać od dokuczenia współzawodnikowi. Tak np. napisał wysoce złośliwą i lekceważącą recenzyę „Wędrówek oryginała“, które są, jak słusznie p. G. zaznacza, jedną z najsympatyczniejszzch i najcieplej napisanych powieści Korzeniowskiego. Znacznie później redagowana przez Kraszewskiego „Gazeta codzienna“ przedrukowała z „Kuryera wileńskiego“ wzmiankę o najpopularniejszyah autorach, których „dzieła leżą na stołach oficyalistów“ i wypuściła z niej nazwisko Korzeniowskiego. Bardzo interesujący szczegół znajdujemy w liście Korzeniowskiego z d. 5 października 1861 r. Dowiadujemy się z niego mianowicie, że Kraszewski pisał do Zygmunta Wielopolskiego list z jakiemiś p r o p o z y c y a m i i że list ten Aleksander Wielopolski komunikował Korzeniowskiemu, ażeby się z Kraszewskim porozumiał. Korzeniowski był chory i zajęty, prosił więc Kraszewskiego, aby mu naznaczył termin do omówienia sprawy. Charakterystycznym jest frazes: „jeżeliś tedy tak łaskaw, ż e c h c e s z n a m d o p o m ó d z, to dopomóż i mnie do spełnienia danego zlecenia.“ Rzecz ta jest wysoce ciekawa, jeżeli się zważy, że Kraszewski należał do przeciwników margrabiego i że jako taki musiał nawet później kraj opuscić.

Z Estreicherem nawiązał Korzeniowski korespondencyę z powodu artykułu, który Estreicher wydrukował o nim jako o pisarzu scenicznym. Korzeniowski rozpisał się obszernie o sobie i swojej twórczości; znaczną część jego listu zajmują sprostowania i uzupełnienia artykułu Estreichera, stanowiące pierwszorzędny materyał dla każdego, kto zechce pisać o Korzeniowskim jako o dramaturgu. W tymże samym liście dotyka Korzeniowski stosunku autorów do sceny i wreszcie najboleśniejszej dla niego sprawy w życiu, a mianowicie krytyki Klaczki. Podaliśmy już powyżej ustęp, w którym Korzeniowski stanowczo odparł zarzut, aby chciał prowadzić ogół na krzywe drogi polityczne, gdyż w politykę wcale się „nie wdawał.“

„Stąd łatwo Pan Dobr. wniesiesz — pisze zaraz dalej po tym ustępie — jakie wrażenie sprawiło na mnie niespodziewane wystąpienie Klaczki i wywód zręczny ale niesumienny moich grzechów przeciw sumieniu polskiemu. Klaczko jest człowiek znakomitej nauki, wielkich zdolności, to mu chętnie przyznaję, ale okazał złą wiarę i nieznajomość naszego położenia. Przesiąkł on zarozumiałością zachodnią, ów splin emigrancki, który im każe widzieć u nas wszystko ze złej strony, chciał zapewne pokazać zręczność Korreadesa w obliczu niektórych pseudopatryotów paryskich, których dawniej smagał potężnie, a którym dziś swojego pióra i talentu pożyczył. Nikt ze znających mnie i moje uczucia nie wierzył zręczności i wrażenie, jakiegom doznał, złagodzone zostało szacunkiem i przychylnością tych wszystkich, którzy mnie znają i tu w Litwie i na Wołyniu i na Ukrainie. Byłożby inaczej w Galicyi? Jestże to, co wyczytuję w relacyi Pańskiej (str. 166) „Pokuszenie uwieńczone dość szczęśliwym skutkiem,“ odgłosem publiczności? Byłoby to dla mnie prawdziwe zmartwienie, bom się urodził w Galicyi i chowam wdzięczność dla Lwowa, którego scena pierwsza podniosła moje imię. Nie dziw się więc Pan Dobr., że mnie słowa te i ten dodatek „że miał za sobą nieco słuszności‘, najmocniej dotknęły z tego wszystkiego, com niepochlebnego, lub niesłusznego o moim talencie pisarskim w pracy Pana Dobr. wyczytał. Sądzę jednak, żeś Pan Dobr. napisał to pod wrazeniem tej zręczności, która może niejednego na chwilę uwiodła. Wszakże mam nadzieję, że Pan Dobr., któryś tyle nademną pracował, znasz mnie lepiej, niż inni, i jeżeli koniec powieści mej jeszcze kiedy odczytasz, przekonasz się, że tam nietylko n i e c o słuszności, ale nawet nieco pozoru do rzucenia na mniej takiej klątwy nie było.“

Rzeczy polskie w obcych literaturach.

I. Przekłady z polskiego.

„Krzyżaków“ *Sienkiewicza* drukują w przekładzie jednocześnie: „Russkaja Myśl“ i „Siewiernyj Wiestnik“.

„Na jasnym brzegu“ *Sienkiewicza* drukują „Russkaja Myśl“, „St. Pet. Wiedomosti“ i „Kurskij Listok“. Utwór ten w przekładzie niemieckim wychodzi na szpaltach pisma wiedeńskiego: „Die vornehme Welt“, które także zamieściło tegoż autora drobnostkę „Chciałbym odpocząć“, wydrukowaną również w praskiej „Politik“.

Z tłomaczeń drobniejszych utworów *Henryka Sienkiewicza* mamy jeszcze do zanotowania: „Pamiętnika nauczyciela poznańskiego“ (Die Neue Welt), „Janko Muzykant“ (Arbeiter Zeitung), „Żórawie“ (Russkija Wiedomosti), „Chciałbym odpocząć“ (Russkija Wiedomosti i Mirowyja Otgołoski) „Jamioł“ (Die Zeit), „Bądź błogosławiona“ (Politik).

„Faraon“ *B. Prusa* wychodzi w piśmie „Mir Božij“ w przekładzie Genajzera.

Trzy nowele *Żeromskiego* przetłomaczyła na język rosyjski W. Zieleniewska i umieściła w pismach „Mir Božij“ i „Nowoje Słowo“. Pierwsze z tych pism zapowiada druk „Ogniw“ Orzeszkowej, które ukazały się już w tłumaczeniu rosyjskiem w „Sborniku“ wydanym na korzyść niezamożnych studentów uniwersytetu moskiewskiego.

„Neue Zeit“ zamieszcza „Biednych ludzi“ *B. Prusa.*

Czeska „Host. Revue“ w nrze 4. przynosi w tłomaczeniu *Bolesława Prusa* nowelę „Spasa“.

Urbanowska Z. La princesse, traduction de R Candiani, Paris libr. Cotin et Cie, Coulomminers, impr. Brodard, 1896, w 8-ce str. 349.

„Ruskaja Myśl“ zamieściła w przekładzie parę poezyj *W. Gomulickiego.*

W 2 nrze pisma czeskiego „Kvety“ znajdujemy wiersz *M. Konopnickiej:* „Vypravovani raneneho“ w tłomaczeniu Fr. Vondračka.

K. Tetmajera „Księdza Piotra“ spotykamy w przekładzie w „Neue Zeit“. Tegoż autora „Laurenta“ podał w tłomaczeniu „Sbornik“ wydany w Moskwie na rzecz studentów.

W dziesięcio-centowej czeskiej Biblioteczce nowel (nakładca Simaček) pomieszczono nowelę T. J. Choińskiego „Rozmary“ w tłomaczeniu V. Kredby.

Od kilku dni—donosi korespondent Kurjera warszawskiego—roznosiciele sprzedają na ulicach Petersburga „dzieła Mickiewicza“. Jest tu we zwyczaju, iż wydawcy puszczają na miasto roznosicieli z „książkami sezonowemi“. Dzieła, o których mowa, tworzą tom „wyboru“ prac wielkiego poety w przekładzie p. Semenowa.

Powieść *Anatola Krzyżanowskiego* „Pasierby“, drukowana w przekładzie w dwóch naraz pismach niemieckich, wychodzi w osobnem wydaniu nakładem „Nürnberg Literar. Institut“.

Mikołaj Manojlovic-Rajko, przetłomaczył powieść *Rodziewiczówny* „Dewajtis“. Nakładu podjęła się „Srpska književna zadruga“.

II. Udział Polaków w obcych literaturach.

Tyszkiewicz Mich. Le comte Notes et souvenirs d'un vieux collectionneur (Odbitka z Revue archéologique) Paris, libr. Leroux, Augers, impr. Burdin, 1896 w 8-ce str. 8.

Witkowski G. J. dr. Les joyeusetés de la medecine, anecdotes, bons mots, pensées, chansons, epigrames etc, 4e ed. Paris, libr. Steinheil, impr. Trouble, 1897 w 18-ce str. 306. 3 franki 50 centim.

Demetrykiewicz Wład. dr. Das gemeinsame Renaissance — Grabdenkmal der Zwei Grafen Tarnowski in der Domkirche von Tarnow. Wiedeńskie Mittheilungen der k. k. Central Commission für Erforschung und Erhaltung der Kunst und historischen Denkmale w zesz. 1. z r. 1897 w 4-ce str. 46—48, z ryciną.

Rostworowski A. J. F. C. v. Die Entwicklung der bäuerlichen Verhaltnisse im Königreich Polen im XIX. Jahrhundert, I. Inauguraldissertation. Halle, 1897 w 8-ce str. VI. i 45.

Nakładem księgarni Guillaimina w Paryżu wyszło studium ekonomiczne *dra Stanisława Domańskiego* pt. „La Liberté, L'Egalité et La Fraternité, Etude de critique.

Bulletin critique z 15. stycznia b. r. zesz. 2, str. 39, donosi, że na posiedzeniu Société nationale des antiquaires de France z 2. grudnia 1896 p. Floryan Trawiński, sekretarz dyrekcyi muzeów narodowych w Paryżu złożył komunikat o opisanej przez prof. Maryana Sokołowskiego rzeźbie Ukrzyżowania Chrystusa Pana z pierwszej połowy w. XI.

Redakcya czasopisma „Archiv für d. Philosophie“ zamówiła u p. *Jerzego Żuławskiego* artykuł „o pracach filozoficznych *H. Struvego*“.

III. Cudzoziemcy o rzeczach polskich.

Szwedzka publikacya p. t. „Om Anders Lorichs, Konung Johans ständige legat i Polen och haus tid (1569—1584). Bidrag till svenska diplomaticus och den katolska reaktionens historya. Af F. Ödberg. Skara, 1893—wzmiankowana w Syblowej Historische Zeitschrift z r. 1896 (t. 78, zesz. 2, str. 312), pomieszcza liczne a ciekawe materyały do dziejów dyplomacyi polskiej i odrodzenia katolicyzmu w Szwecyi w pomienionych latach.

W „Revue Blanche“ znany matematyk *Burthé* stanął w obronie *Hoene Wrońskiego* przeciw Bertrandowi. Artykuł Bertranda nazywa Burthé kamieniem rzuconym na grób Wrońskiego, zarzucając Bertrandowi niedokładność w cytatach, stronne oświetlenie faktów i t. d. Do osobnej odbitki swego artykułu dodał p. Burthé portret Wrońskiego podług starego angielskiego sztychu wykonany przez głośnego rysownika Vallantona.

Altpreus. Monatschrift w t. 33 zamieszczają rzecz o szkole jezuickiej w Grudziądzu i list Zygmunta I. króla polskiego do Henryka VIII. króla angielskiego.

„Istoriczeskij Wiestnik“ drukuje artykuł p. *Chraniewicza* o stosunku Mickiewicza do Karoliny Jenisz na podstawie znanej w tym przedmiocie pracy prof Tretiaka.

R. Brandt. Lenora, Ludmiła i Neryna. Warszawa 1896 (po rosyjsku). Zestawienie ballady *T. Zana* p. t. Neryna z Ludmiłą Żukowskiego będącą przeróbką „Lenory“ Bürgera. Autor wykazuje, że Zan tłomaczył po prostu utwór Żukowskiego, gdzieniegdzie tylko drobnych zmian dokonawszy. P. Brandt nie zna pracy J. Kallenbacha o Nerynie (XIII tom Rozpraw i sprawozdań wydz. fil akad. Um.), w której wskazano już na zależność Zana od Żukowskiego. Na końcu rozprawki jest przedruk Neryny.

W numerze 10-tym „Graždanina“ znajdujemy artykuł wstępny, poświęcony charakterystyce *ks. Adama Czartoryskiego* jako kuratora okręgu naukowego wileńskiego. Graždanin podnosi, że siła magiczna ks. Adama tkwiła w miłości. Czartoryski mniej zajmował się aktami, a nierównie więcej ludźmi. Profesorów i wychowańców oceniał ze strony wychowawczej i patryotycznej. Kiedy widział młodzież drzemiącą pod wpływem wykładu nudnego nauczyciela, zastępował nieudolnego i bezpożytecznego natchnionym i uzdolnionym. „Bez ustanku wsłuchiwał się w bicie młodego serca i wymagał od szkoły by ona rozwijając i wzbogacając umysł równocześnie natchnęła i serce do pracy w sferze dziedzicznych ideałów i dążenia ku nim...“ Tłomaczenie artykułu Graždanina podały: Kraj, Gazeta warszawska, Gazeta polska i t. d.

W „Rus. Słowie“ znajdujemy interesujący artykuł p. Serno Sołowiewicza o działalności *Mickiewicza* w Wilnie.

W biblioteczce dla młodzieży, wydawanej w języku czeskim, wyszły Obrazki z Polski (Obrazky z Polska). Autorem ich jest Jar. Klika.

„Literarni Listy“ w rze 10 przynoszą artykuł: „Najnowsze utwory *Sewera Maciejowskiego*“. W artykule tym jest mowa o powieściach: Zyzma, Na szerokim świecie, Starzy i młodzi i Biedronie. Autor artykułu, Karol Křivy, korzystał między innemi i z recenzyi naszego *Przeglądu.*

W illustrowanem czeskiem piśmie Zlata Praha (nr 13) znajdujemy artykuł o Konradzie Walenrodzie pióra A. E. Mužika.

Dennenberg Herm. Münzgeschichte Pommerns im Mittelalter, Nachtrag. Berlin, A. Weyl, 1897, w 8-ce, str. III i 151—188, z 12 tabl., 4 marki.

Głośny powieściopisarz niemiecki *Grzegorz Samarow* (pseudonim Oskara Medinga), wydał powieść dwutomową „Die Krone der Jagellonen". Rzecz oparta na wypadkach 1830—1831. Do powieści oprócz, głównych fikcyjnych postaci, wchodzą osoby historyczne. Obszerniejsze sprawozdanie z tej powieści, pełnej sympatyi dla naszej przeszłości, pomieścił p. J. Flach w lutowym zeszycie Przeglądu polskiego.

Der Aufstand in West-Galizien im Februar 1846, Erinnerungen und Erlebnisse eines Kavallerie-Offiziers. Leipzig, Verlagsanstalt Militär — Rundschau, 1897, w 8-ce, str. 40. 1 marka 60 fenig.

Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu petersburskiego między innemi tematami dla studentów do rozpraw na medale, wyznaczył temat: „Stosunki Polski do papiestwa i cesarstwa od końca XIII do początków XIV wieku".

W 2 nrze czeskiego pisma „Ženske listy" znana autorka Antoszka pomieściła życiorys *Eleonory Ziemięckiej.*

W kijowskiem Stowarzyszeniu artystyczno literackiem p. N. Nikołajew wygłosił odczyt o dwóch obrazach *Matejki* (o Batorym i Iwanie Groźnym). Prelegent zarzucał zmarłemu mistrzowi niezgodność z historyczną prawdą, nieznajomość szczegółów, błędną technikę, tendencyę i t. d.

Bohl Joh. Wanda, romantische Dichtung, von .... Archivar in St. Gallen Leipzig, O. Mutze, 1896, w 8-ce, str. 95, 1 marka 20 fenig.

Manasewitsch B. Die Kunst die polnische Sprache schnell und leicht zu erlernen, 3-te umgearb. Aufl (Bibliothek der Sprachekunst, VII). Wien, A. Hartleben, 1897 w 8-ce, str. XII i 188. Opr. 1 złr. 10 ct.

Wiadomości literackie.

a) z literatury polskiej.

— Na posiedzeniu Wydziału historyczno-literackiego poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk dr. Erzepki przedstawił dwie pamiątki po *Juliuszu Słowackim.* Pierwszą jest nowy testament polski, ofiarowany przez poetę pp. Bukowieckim, w Poznaniu, u których Słowacki bawił przez dni kilka w gościnie w r. 1848 (na Piekarach l. 16). Na pierwszej stronie książki napisał poeta słowa: „W domu W. Bukowieckich, wracający z emigracyi Juliusz Słowacki, gościnnie przyjęty i schowany, tę książkę na pamiątkę zostawił. Poznań dnia 2 maja 1848 roku". Drugą pamiątkę stanowi list Słowackiego do pani Bukowieckiej, pisany w Paryżu dnia 5 września r. 1848.

— Ksiądz prałat Stanisław Chodyński we Włocławku przy rozbieraniu starej zepsutej oprawy, znalazł nieznaną bibliografom naszym broszurę „Sprawa krotka dla czego Bractwo Ciała Bożego w sławnym Mieście POznaniu jest postanowione. Do tego przydany jest wykład Odpustów, y Constitucye tego bractwa (tu winieta monstrancyi). W Poznaniu Jan Wolrhab: 1586". Broszura zaleca się czystością jęzzka.

— W przyszłym miesiącu okaże się w handlu księgarskim Historya Polski pióra p. Władysława Smoleńskiego, znanego badacza naszych dziejów.

— Firma Gebethnera i Wolffa wyda niezadługo nowelkę Konopnickiej (tytułu nie znamy) z kolorowanemi rycinami Stachiewicza.

— Zanotowaliśmy, że p. *K. Waliszewski* znalazł w Chantilly znakomite materyały do dziejów polskich. Z materyałów tych ma powstać przedewszystkiem dzieło francuskie p. t. Marysieńka.

— *Ks. Stanisław Biegański* przygotował do druku korespondencyą Konarskiego z generałem zakonu pijarskiego, którą ma drukować lwowski „Przewodnik naukowo literacki".

— „Historya literatury angielskiej", dzieło klasycznej wartości Hipolita Taine'a, ukaże się niezadługo w tłomaczeniu polskiem w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej", wychodzącej nakładem firmy S. Lewentala.

— W Warszawie rozpoczęło wychodzić czasopismo „Wiadomości matematyczne". Będzie się ich ukazywać cztery do sześciu zeszytów rocznie. Redaktorem i wydawcą jest p. *S. Dickstein.*

— Księgarnia M. A. Wisbeka w Warszawie wydaje złote myśli *Bolesława Prusa* p t. „Co nam Prus opowiedział".

— Lwowskie „Koło literackie" obchodzić będzie dnia 28 marca 25-cioletni jubileusz znanego piosenkarza i satyryka *Mikołaja Biernackiego* (Rodocia).

— W Warszawie odsłonięto uroczyście pomnik *J. I. Kraszewskiego* w kościele św. Krzyża.

— *P. Władysław Weryko* doktor filozofii Uniw. berneńskiego, rozpocznie w Warszawie z jesienią wydawnictwo kwartalnika: Przegląd filozoficzny.

— Wystawiona na scenie krakowskiej świeżo odnaleziona w papierach po *A. Fredrze* dwuaktowa komedya „Z Przemyśla do Przeszowy", nie doznała scenicznego powodzenia.

— Jeszcze jedno pismo „którego brak literaturze naszej uczuć się dawał". Jest nim wydawany przez H. Altenberga miesięcznik „Ubiory dla dzieci". Pisma lwowskie chwalą „szczęśliwy pomysł" tego wydawnictwa, — mniej zato rozczulają się pisma warszawskie, zaznaczając, że „jest to polskie wydanie jednego z pism berlińskich tego rodzaju, to też ubiory dziecinne gustem się nie odznaczają".

— Żarcik satyryczny o dalszych dziejach Ligii i Ursusa pomieszczony w naszym *Przeglądzie* przedrukowany został w warszawskiej „Gazecie polskiej" i w petersburskim „Kraju".

— „Gazeta warszawka" przedrukowała z naszego *Przeglądu* urywek z pamiętnika *Al. Fredry.*

Nekrologia.

† EDWARD JELINEK.

Nie zwykliśmy w łamach naszego pisma pomieszczać większych nekrologów, ale dla Jelinka musimy odstąpić od przyjętej zasady. Choć nie był on literacką wielkością i nie pozostawił po sobie dzieł wybitnego talentu, przedstawia dla nas więcej wartości niż najznakomitsi pisarze obcy, a i w literaturze naszej mało jest ludzi równie jak on dla nas zasłużonych. Nie możemy bowiem zapominać, że lubo syn pobratymczego narodu, był Jelinek dla nas obcy, a pomimo to kochał nasze społeczeństwo i pracował dla niego tak, jakby się wśród niego urodził i wychował. Ten jeden człowiek więcej dla uas budził sympatyi we własnem społeczeństwie, niżby to mógł uczynić cały legion obcych a życzliwych nam pisarzy. A jeżeli dodamy, że dla ukochanej idei walczył prawie sam jeden, że bywały chwile, w których ta idea mogła go narazić tylko na niepopularność między swoimi, że wprost przeciwne a potężne prądy głos jego głuszyły i odbierały mu nadzieję zwycięztwa dla sprawy, której cały swój zapał i całe siły poświęcił, że każdy inny prawie w tych okolicznościach zbiegłby z pod sztandaru, że jednem słowem ua obranej przez niego drodze więcej było cierni niż kwiatów — to zrozumiemy jakim był hart jego duszy, jak wielką była miłość, którą otoczył nie „szczęśliwych" i „wybranych", lecz słabych, cierpiących i żółcią pojonych.

Edward Jelinek urodził się w Pradze 6. czerwca 1855 r. z rodziny mieszczańskiej na wpół zniemczonej. Już w szkołach uczył się języków słowiańskich i stał się słowianofilem w najszla-

chetniejszem tego pojęcia znaczeniu. Otrzymawszy stypendyum „Svatobora“ na podróże po krajach słowiańskich, pierwsze swe kroki skierował do Galicyi. Ze stypendyów tych korzystał przez czas dłuższy, zwiedzając całą Słowiańszczyznę. Najchętniej jednak i najdłużej przebywał w granicach dawnej Rzplitej. Nie opuścił ani jednej prowincyi. Znał zarówno wschodnie i północne „ukrainy“, jak stoki Karpat i Żuławy gdańskie, — zawitał nawet do Kaszubów. Ze wstydem musimy się przyznać, że wśród nas tylko rzadkie wyjątki poszczycić się mogą taką znajomością Polski etnograficznej i historycznej. Rozmiłowany w naszym kraju i narodzie, nietylko większą część swej działalności literackiej nam poświęcił, ale brał osobiście udział w każdej naszej radosnej czy smutnej uroczystości. Widzieliśmy go na naszych „wielkich pogrzebach“, zjazdach literackich, jubileuszach, wystawach. A zawsze kogoś zachęcił, aby mu towarzyszył, tak np. na wystawę lwowską i jednocześnie odbywający się zjazd literacki przywiózł ze sobą Vrchlicky'ego. A jakie świetne urządzał przyjęcia zbiorowym wycieczkom polskim na wystawę praską w r. 1891! Od znużenia ze sił opadał, zdrowie podkopywał, aby gościnność czeską przedstawić przed nami w najlepszem świetle. To też dla wielu, tak jak dla piszącego te słowa, „dnie polskie w Pradze“ pozostaną jednem z najmilszych wspomnień życia.

Na niwie literackiej wystąpił Jelinek po raz pierwszy jako tłomacz powiastki Czaplickiego: „Miłość Tatarki“ (1874). Pierwszym jego oryginalnym utworem były: „Prace duchowe pobratymczych narodów słowiańskich“; zaraz po nich szły „Obrazki z Polski“ (1880). A oto szereg prac dalszych: Idea słowiańska w Czechach (po polsku 1881), Bolesław Jabłoński (1881), Polskie panie i dziewice (1884), Szkice kozackie (1885), Zarysy litewskie (1886), O zgodzie czeskopolskiej (1887), Dumy ukraińskie (1888), Damy dawnych salonów polskich (1888), Szkice słowiańskie (1889), Odwiedziny (1889), Zarysy warszawskie (1890), Honorata z Wiśniowskich Zapowa (1891), Światła i cienie (1891), Rzeczy polskie (1893), Zapomniany zakątek słowiański (o Kaszubach 1894), Listy o rzeczach morawskich (po polsku 1894), Rzut oka na Litwę (1895); prócz tego wydał zbiór nowel „Pro společnost“ drobiazg sceniczny „Korouhevnik“ a pod pseudonimem „Pražsky“ zbiór humoresek historycznych. W dodatku do „Hlasu narodu“ pisał o Skardze. Wydał też krótki opis czeski Zakopanego, a jeszcze przed trzema miesiącami drukował w odcinku „Politik“ „Czeskie wspomnienia z Warszawy“, które streściliśmy w 1. Nrze *Przeglądu Literackiego.* Był współpracownikiem i korespondentem wielu pism polskich. W *Tygodniku illustrowanym* wydrukował rzecz „Chodowie, potomkowie Polaków na kresach bawarskich w Czechach“.

Pracował też na polu naukowem. Niezmiernie ważnem wydawnictwem był redagowany przez niego (1881—1889) „Sbornik slovánský“, poświęcony etnografii, dziejom, cywilizacyi, literaturze, i życiu społecznemu Słowian. W Sborniku tym jest wiele prac nas obchodzących i przez Polaków dostarczonych. W „Rozprawach wydziału filozoficznego“ Akademii krakowskiej znajduje się wielce cenna i mozolna jego: Bibliografia czesko-polska, w której zebrał wszystko, co tylko w Czechach drukowano o rzeczach polskich; Akademia czeska drukowała znów inną jego bibliografię, w której zebrał artykuły i dzieła polskie Czech się tyczące. Wydał również Bibliografię serbsko-czeską (w Belgradzie, nakładem Towarzystwa: „Glasnik“) i czesko-rosyjską (w Petersburgu).

Jelinek był członkiem Akademii czeskiej, Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, w Muzeum Kopernika w Rzymie, Towarzystwa Mickiewicza we Lwowie i t d.

W Bibliotece Jagiellońskiej utworzył swojem staraniem i kosztem dział czeski. Wielką swoją bibliotekę podzielił na kategorye i zapisał różnym naukowym i literackim instytucyom.

Zmarł dnia 15. marca r. b. w Pradze na chorobę piersiową. W licznym jego pogrzebie wzięli udział reprezentanci Towarzystw polskich, nad grobem jego usłyszeli Czesi dźwięki mowy naszej, a na mogile jego złożono kilka wieńców polskich.

Czesi we wspomnieniach o Jelinku podnoszą jego sympatye polskie i nieskazitelny charakter. Nie czytaliśmy wzmianki, w którejby nie nazwano Jelinka człowiekiem niezwykłej szlachetności. — Nasze i czeskie pisma illustrowane podały jego portrety. „Svetozor“ czeski dał sporą reprodukcyą zbiorowej fotografi kilkunastu literatów warszawskich, zgrupowanych około Jelinka i A. E. Odyńca. *(b.)*

Wincenty Dawid ur. 1816 r. w Szczebrzeszynie, zmarł 15 marca w Warszawie. Uczeń uniwersytetu petersburskiego, drukował swoje utwory patryotyczne w „Niezabudce“ Barszczewskiego. Za udział w związku politycznym oddany do służby wojskowej na Kaukazie, skąd był współpracownikiem Biblioteki warszawskiej. Powróciwszy do kraju został nauczycielem szkół publicznych. Redegował czas jakiś „Gazetę lubelską“. Wydał „Gramatykę języka polskiego“, „Nową mnemonikę“, „Metodę początkowego nauczania“. Po śmierci A. Sulimirskiego redagował Wędrowca.

Pantalejmon Kulisz historyk, powieściopisarz, poeta, dziennikarz maloruski, zmarł 16 lutego. Człowiek rzadkiej pracowitości, niestrudzony dzialacz na wszystkich polach literatury, to też w historyi ukraińskiej Petrowa poświęcono samemu Kuliszowi przeszło czwartą część całego dzieła.

Pogadanka w Związku literackim.

(Dr. M. Zdziechowski o Tołstoju i tołstoistach).

We czwartek 18 lutego, dr. Maryan Zdziechowski miał w Związku literackim pogadankę o Tołstoju i tołstoizmie. Na pogadankę złożyły się częścią spostrzeżenia prelegenta oparte na studyach nad teoryą rosyjskiego pisarza, częścią wrażenia wyniesione z letniej wycieczki do jego rezydencyi w Jasnej Polanie.

Na wstępie opowiedział prelegent szczegóły zewnętrzne podróży swojej i pobytu u hr. Tołstoja, potem przeszedł do swoich z nim rozmów. Osią, koło której toczyły się, była kwestya religijna. Najbardziej uderzyła prelegenta energia, z jaką wielki artysta i myśliciel zaznaczał swoją wiarę w osobowego Boga. Pod tym względem był on w rozmowie jeszcze jaśniejszy i ściślejszy niż w pismach. Bóg jest, zdaniem Tołstoja, postulatem rozumu. Odrzucić więc Boga, znaczy nie rachować się z rozumem. Ale Bóg dał człowiekowi rozum, jako jedyne narzędzie do poznania Jego. Innych dróg niema. Człowiek szuka szczęścia. Z porządku rzeczy wynika, że rozum, uznawszy Boga, każe uznać szczęście w życiu według woli Boga, czyli w życiu bożem. Największe duchy ludzkości, twórcy religij, dążyli do stworzenia ideału takiego życia. Najdoskonalszym i ostatecznym wyrazem tych dążeń jest Ewangelia, którą też rozum każe uznać i bezwzględnie uczcić. Oryginalnym jest umysłowy despotyzm Tołstoja: na zarzut, że rozumy rozmaitych ludzi mogą rozmaicie tłomaczyć Ewangelią, odpowiada, że różnice mogą się zdarzyć tylko w drobiazgach, w rzeczach zaś zasadniczych pomiędzy ludźmi szczerymi, którzy dobrowolnie oczu przed prawdą nie zamykają i nie ściskają myśli w kleszczach narzuconych im formułek, dwóch zdań być nie może.

W teologii skrajny racyonalista, nie chcący uznać, że Chrystus nauczał nietylko o miłości, ale także o wierze, że wiary wymagał i że o swojem bóstwie mówił na każdej niemal karcie Ewangelii, Tołstoj wytłomaczył etykę ewangeliczną w duchu miłości bliźniego, nakazującej bierny anarchizm (nie sprzeciwiaj się złemu gwałtem), czyli negacyę Kościoła i Państwa, jako dwóch instytucyj, będących źródłem wszystkiego złego w życiu społecznem, sprzecznych z wymaganiami rozumu i z wolą Boga, ale odrzuciwszy Kościół i państwo, Tołstoj tem silniej affirmuje rodzinę, jako jedyną podstawę społeczeństwa.

Następnie przeszła rozmowa do współczesnego ruchu religijnego w Europie. Francuzki neochrześcianizm powstał w znacznej mierze pod wpływem nauk Tołstoja, ale pomimo tego pisarz rosyjski potępia go, jako ruch anemiczny i bezsilny i nie chce odróżnić od dekadentyzmu — zdaniem prelegenta — niesłusznie, w istocie bowiem neochrześcianizmu (P. Desjardins, Ch. Wagner) tkwi szukanie ideału moralnego; prąd ten powstał jako reakcya przeciw anarchii moralnej. Tymczasem dekadentyzm jest szukaniem jakichś nowych wrażeń, któreby zdolały podrażnić i podniecić zużyte i stępiałe zmysły i umysły, nie wyklucza on przeto i wrażeń religijnych, o ile religia może być ciekawą nowością dla ludzi w atmosferze niedowiarstwa wychowanych. Natomiast bardzo wysoko ceni Tołstoj ten kierunek etyczny i chrześciański, który przedstawia w Niemczech Egidy.

Rozpoczęta od zagadnień religijnych, od zasad chrześciaństwa, dyskusya skończyła się na powieści w której Sienkiewicz początki chrześciaństwa przedstawił. „Quo vadis“, jest zdaniem Tołstoja, rzeczą chybioną i co do pomysłu i co do wykonania. Uważając dokładne wniknięcie w głąb charakterów dawno zamarłej przeszłości za rzecz arcytrudną, pisarz rosyjski mniej jeszcze wierzy w możliwość artystycznego ich odtworzenia, powstaje więc w zasadzie przeciwko powieści historycznej; zająwszy takie stanowisko i chcąc prócz tego widzieć w pierwszych chrześcianach racyonalistów, jakim jest on sam, głównie zarzuca on Sienkiewiczowi fałszywe zrozumienie stanu wewnętrznego oraz dążności chrześciaństwa w epoce Nerona. Czytanie „Quo vadis“ było dla Tołstoja udręczeniem, nie był prawie w stanie dojść do końca. „Znam się przecie na technice artystycznej — mówił on do prelegenta — i niestety w robocie Sienkiewicza widzę wszystkie szwy“. — Natomiast z prawdziwym zachwytem wyrażał się o powieściach społecznych, o „Bez dogmatu i „Rodzinie Połanieckich“. W tym względzie stawia on Sienkiewicza na czele wszystkich współczesnych powieściopisarzy europejskich. Ten zachwyt prelegent tłomaczy pociągiem natury męzkiej, silnej do niewieściego wdzięku: szorstki, zuchwały, nazywający rzeczy po imieniu realizm Tołstoja i wydelikacony i ubarwiony pierwiastkiem marzycielskim realizm Sienkiewicza, dopełniają się wzajemnie. W niezrównanym uroku niewieścich postaci naszego pisarza należy szukać tajemnicy potężnego wrażenia, jakie on wywarł na największym ze znawców dusz ludzkich. O Maryni Połanieckiej, szczególnie zaś o Anielce z „Bez dogmatu“ mówił też Tołstoj z sympatyą przechodzącą prawie w rozrzewnienie.

Wogóle wrażenie z obcowania z hr. Tołstojem wyniósł prelegent wzniosłe, zostające na całe życie; widział w nim człowieka wyjątkowego, z genialnym umysłem i wielkiem sercem, poświęcającego szukaniu prawdy o Bogu i życiu olbrzymie siły swej duszy, cały jej zapał. I wyniki rozmyślań i dumań swoich umie on przeprowadzać z bezprzykładną śmiałością myśli w pismach swoich i z ogromną zdolnością zaparcia się siebie — w życiu.

W końcu wypowiedział prelegent kilka uwag o tych zwolennikach Tołstoja, z którymi się zetknął. Wydatną cechę stanowi u nich to właśnie, że nie chcą być „Tołstoistami“, nie lubią tej nazwy, świadczącej o pewnej sekciarskiej wyłączności i starannie wystrzegają się sekciarstwa. Są to ludzie przejęci pod wpływem nauk mistrza przeświadczeniem o bliskości zasadniczego przewrotu w zapatrywaniach i stosunkach ludzkich; ten przewrót chcieliby przyśpieszyć i w tym celu pracują nad wewnętrznem przygotowaniem się do tego, czyli nad doskonaleniem dusz własnych, nad poprawą życia w duchu chrześciańskim, w duchu nauk Tołstoja. W koloniach zaś, które inni zwolennicy Tołstoja utworzyli w niektórych miejscowościach, widzą oni przedwczesne próby, skazane na zanik, bo tchnące ową sekciarską ciasnotą pojęć, której sami chcą uniknąć.

KONKURS.

— Galicyjski Wydział krajowy rozpisał konkurs z terminem po dzień 31 grudnia 1897 r. na dwie premie z fundacyi Franciszka Kochmana, a to jedną w kwocie pięciuset (500) złr. a. w., a drugą w kwocie tysiąca (1.000) złr. a. w. dla dwóch dzieł w języku polskim za najlepsze uznanych i wzywa wszystkich literatów polskich bez różnicy, w którem państwie mieszkają, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te premie, przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału krajowego. W myśl statutu fundacyi, mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, zaś wydawnictwa materyałów historycznych lub innych, bibliograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Publikacye ogłoszone przed r. 1888, bez różnicy czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą być dopuszczone do konkursu.

Sprawy Związku literackiego.

Wydział Związku literackiego uchwalił wziąć inicyatywę w zbieraniu składek na tablicę poświęconą pamięci Edwarda Jelinka. Ponieważ idzie głównie o to, aby Czesi wiedzieli jaką wdzięcznością otoczona jest u nas pamięć Jelinka, przeto tablica ta zostanie przesłaną do Pragi dla umieszczenia jej we wnętrzu jednej ze świątyń, lub w którym z gmachów publicznych. Nie należy nawet przypuszczać, aby myśl przez „Związek“ podjęta nie znalazła odgłosu w naszem społeczeństwie, tablica ta bowiem będzie jednocześnie oddaniem hołdu człowiekowi wysoce dla nas zasłużonemu i dokumentem świadczącym wśród pobratymców o szlachetności uczuć naszych. Składki można nadsyłać do redakcyi „Przeglądu literackiego“, Kraków, ul. Floryańska 41.

Redaktor główny i odpowiedzialny

Kazimierz Bartoszewicz.

Wydawca i sekretarz Redakcyi: ***Ludwik Glatman.***

Małuszewski Ignacy. Czarnoksięstwo i medyumizm, studyum historyczno-porównawcze z 21 ilustracyami. 1 zł. 30 ct.

Mayeux H. Pomysłowość zdobnicza (La compositon décorative) przełożył Wojc. Gerson, z liczn. rysunkami. 2 zł.

Müller E Młodość sławnych ludzi, przekład J. Chęcińskiego. Wyd. III 223 rycin. Karton. 1 zł. 60 cnt., w opr. 2 zł. 20 cnt.

Nałkowski W. Zarys geografii powszechnej poglądowej, z licznemi rycinami, 3 zł. 70 ct., kart. 4 zł.

Niewiadomska C. Stracona. Powieść. 1 zł. 80 cnt.

Niewiadomski C. ABC w obrazach, nauka czytania i pisania ułożona poglądowo według najnowszych zasad wychowawczych, z przeszło 300-ma rysunkami, karton 1 zł. 60 cnt. Wydanie ozdobne 2 zł.

— Powiastki króciutkie dla małych dzieci, z rysunkami. Karton 1 zł. 10 cnt.

Odyniec A. E. Tłomaczenia, wydanie trzecie, 2 tomy, 4 zł.

Orzeszkowa Eliza. Pieśń przerwana. (Biblioteczka illustr.) zł. 1.30 w oprawie 1 zł. 70 cnt.

Porawska Br Jedynaczka, powieść dla młodzieży. Karton. 1 zł. 60 cnt., w opr. 2 zł. 20 cnt.

Prus Bolesław. Grzechy dzieciństwa, z ilustracyami A. Kędzierskiego, zł. 1 cnt. 30, w oprawie zł. 1 cnt. 70.

Prus Bol. (Aleks. Głowacki) Faraon, powieść. 3 tomy. 4 zł.

Przyborowski W. Madejowe łoże, opowiadanie historyczne z XI w. z ilustr. karton. 1 zł. 60 cnt., w opr. 2 zł. 20 cnt.

Reymont Wł. S. Komedyantka, powieść. 2 zł.

Rodoć M. Satyry i fraszki. 1 zł. 30 cnt., w opr. 1 zł. 80 ct.

Rzym Papieży, ilustrowany,

Całość w 8-miu zeszytach 11 zł. 20 cnt. W ozdobnej oprawie 14 zł.

Sempołowska S. i Unszlichtówna. Zbiorek powiastek, opowiadań wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7—9-ciu 80 cnt., w oprawie kartonowej 1 zł.

Smoleński Wł. Ostatni rok sejmu wielkiego. 5 zł. 20 cnt.

Sienkiewicz H. Pisma. Tom XXI—XXIII.

— Bez dogmatu. Wyd. nowe, 3 tomy. 3 zł. 90 cnt.

— Quo Vadis. Powieść z czasów Nerona, 3 tomy, zł. 6 ct. 50.

Tajemnice ręki i głowy, zebrał A. W. W. 2 zł. 40 ct.

Teatr amatorski. Tomik po 40 cnt.

Nr. 45. Zyżkowski St. Zmijka, fraszka sceniczna w 1 odsłonie.

Tetmajer K. Wybór poezyi. 1 zł. 30 cnt., w opr. 1 zł. 80 ct.

Weryho M. W zimie. Książeczka dla małych dzieci z rycinami. W oprawie kartonowej 1 zł. 10 ct.

Znicz. (Marya Paprocka). Uśmiech życia, powieść 2 zł.

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.